MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVII. Nr. 28 WARSZAWA, 11 LIPCA 1937 R. CENA NUMERU 80 GR.

NOWE PAŃSTWO

CZASY dzisiejsze są niewątpliwie czasami przebudowy i przełomu. Ruchy narodowe, tak tryumfalnie dochodzące do głosu w coraz to liczniejszych państwach i krajach, są właściwie zapowiedzią tego nowego, co już nadchodzi i dla tego nowego pracują.

Rzecz oczywista, że gdy rodzi się jakaś nowa epoka, a razem z nią tworzy się jakiś nowy styl na miejsce innego, który w ciągu lat historii zatracił już swój sens i rację bytu — to nie może on się wyrobić nagle i odrazu. Jego dojście do równowagi i odnalezienie całkowitej, a warunkującej każdy styl, harmonii na wszystkich polach muszą poprzedzić różne żmudne poszukiwania po omacku i, co za tym idzie, liczne próby niekoniecznie udane. A że dzisiaj wszystko naokoło nas się wali i na gwałt domaga przeróbek i poprawy, nic więc dziwnego, że w gorączce tej twórczości powstaje nieraz zbyt szybko dużo rzeczy bez przyszłości, a w wielkim zapale reformowania ucieka się aż za często do lekarstw o wiele bardziej szkodliwych, od tych różnorodnych cierpień, które zwalczać mają.

Tym kryzysem przebudowy ogarnięty jest dzisiaj całokształt gmachu naszej cywilizacji. Zbyt długo przy budowie dalszych jego pięter karygodnie lekceważono sobie jego podstawy i fundamenty. W rezultacie w całym tym wiekowym a cudownym gmachu pokazały się groźne zarysy i pęknięcia i zaszła paląca konieczność jaknajszybszego jego ratowania. Gospodarka i polityka najwięcej tu chyba trosk nasuwają i działalność na tych obu polach jest też z konieczności najbardziej ożywiona.

Ponieważ — w znacznej mierze dzięki dziewiętnastemu wiekowi, — wszystkie nasze instytucje są dzisiaj poważnie chore, więc też poważnie chore jest i państwo. Znajduje się ono na prawdziwym rozdrożu i przypomina trochę to dziecko, które nie nauczywszy się lekcji, coraz silniejszym krzykiem w jej wypowiadaniu chce zagłuszyć wszystkie jej błędy i braki. Tak jak to dziecko, dzisiejsze państwo wszystkie swe przeogromne braki chce naprawić samym tylko rozciągnięciem władzy na wszystko dokoła. Więcej władzy, więcej ingerencji — oto zbawcza recepta na wszystkie dolegliwości dnia dzisiejszego.

Tymczasem jest to mocno dziecinne i krótkowzroczne. Takie pojmowanie rzeczy byłoby jedynie wtedy słuszne, gdyby istota zła leżała jedynie tylko w tych co rządzili, i gdyby chodziło o utworzenie przejściowej dyktatury dobra, dla usunięcia tych szkód, jakie dawne rządy poczyniły. Ale o to właśnie chodzi, że nie tylko sami wczorajsi rządzący byli źli, ale że i wszystkie, niegdyś znajdujące się w ich rękach instytucje, są poważnie przez nich wypaczone. Są one dzisiaj jak zabawki popsute przez niegrzeczne dzieci i w kąt rzucone. Każdej z nich czegoś brak, każdej mechanizm źle funkcjonuje. A jeszcze nigdy chyba jakiejś chorej instytucji nie uzdrowiło obarczenie jej jeszcze jednem zadaniem. Takie usiłowania są właśnie typowym lekarstwem gorszym jeszcze od choroby.

A tymczasem nasza dzisiejszość w znakomitej większości wypadków z najzupełniejszą bezradnością wobec ważnych problemów to jedno tylko dość fałszywe i ryzykowne posunięcie stosuje. Mamy dziś istną erę państw totalnych i to zarówno tam, gdzie są one zupełnie na swoim miejscu i usprawiedliwione ideologicznie, jak w Rosji Sowieckiej, jak i tam, gdzie są istnym absurdem,

jak w Niemczech, gdzie wciąż się opowiada o Europie i obronie jej zagrożonej cywilizacji. Bo jednak Europa na człowieku stoi i sprowadzić go do bytu samej tylko cząsteczki większej masy, o ile nie zechce do reszty zaprzeczać sobie i całkiem już swych fundamentów walić — nigdy nie może. Do tego trzeba odmiennej cywilizacji i to co w Rosji, choć wrogie i obce, ostatecznie nie jest jeszcze potwornością; staje się nią od razu, gdy chcieć to narzucić państwom i narodom Europy.

Nic więc dziwnego, że ruch hitlerowski nastręcza bardzo wiele zastrzeżeń i, że im bliżej mu się przyglądać, tembardziej nie zachęcająco wygląda. O wiele wyżej od niego stoi prawdziwie rzymski faszyzm, choć i tam właśnie — jeśli chodzi o państwo — nasuwa się również wiele zastrzeżeń. A wogóle wszystkie te państwa totalne, dla tego swego totalizmu są właśnie i mało nowe i bez większego znaczenia dla nadchodzącej przyszłości. Naprawdę dla przyszłości pracuje tylko to państwo, które chociażby w ramach dyktatury szuka dla siebie formy zgodnej z zasadniczym stylem naszej cywilizacji, a więc jakiejś formy nie totalnej. I dzisiaj jako takie wymieniłbym jedno — Portugalię Salazara.

Portugalia, już oddawna kraj zacofany i mocno marginesowy w życiu europejskim, dzisiaj wysuwa się na miejsce bardziej poczesne. To, co tam się robi, jest i ciekawe i pouczające. Ściągnęło też na siebie zainteresowania licznych publicystów i polityków. Literatura na ten temat jest już dość obszerna, a — co o wiele jeszcze ważniejsze — i wartościowa. Na czoło jej wysuwają się dzieła samego Salazara „*Une révolution dans la paix*" (o którym pisał niedawno w „Myśli" sen. Kozicki) i Gonzague de Reynold'a „*Portugal*"; oba przerastające o wiele zwyczajną propagandowa literaturę, jakiej nie brak o innych dyktaturach.

Największą osobliwością jest to, że reformę liberalno-społecznego państwa zaczęła nie, jak inni — od poszerzania jego funkcyj, ale od ich kurczenia. Zwolennikom „silnego państwa" wydaje się to niepojęte, ale tak jest. Szeroko rozlana, ale pełna mielizn rzeka jest bez wartości dla żeglugi i dużo więcej od niej waży, chociażby węższa, ale o nurcie głębokim. Podobnie jest i z państwem, którego rzeczą wcale nie jest obejmowanie swoją działalnością wszystkiego, ale tylko kierowanie wszystkiem, co jest zupełnie czymś innym. To kierowanie wszystkim bez szkody dla życia, bez sztywności bizantyńskiej, mechanizującej i niszczącej wszystko dokoła siebie — jest możliwe tylko przy ścisłym ustaleniu i ograniczaniu jego zadań, co wcale nie godzi w moc i autorytet ograniczonego tak państwa.

Bo prawdziwe, dobrze zorganizowane państwo nie jest Bogiem i jak wszystko ludzkie ma granice. Granice moralne, obyczajowe i poprostu ludzkie. Są w państwie byty i prawa, któremi ono rozrządzać się nie może, — typowym takim bytem jest rodzina; państwo dobre zawsze szanuje jej uprawnienia. Podstawowem tu jest wychowanie i znowu dobrze jest pamiętać, że moloch państwowy nie powinien wszystkim się zajmować, że właściwie szkoła jest czemś, co się nadaje raczej tylko do tego kierowania. A że państwo z istoty swojej jest zawsze mechanizmem, a jego moc i idea są z narodu, więc siła tego narodu rozstrzyga o jego prawdziwej mocy. O tem wie Salazar i kurcząc mechanizm państwa stara się dźwigać życie od człowieka przez rodzinę — korporacje i stany do narodu.

To są pewne myśli zasadnicze przebudowy portugalskiej, które odrazu pozwalają się zorientować, jak dalece jest ona oryginalną i twórczą. Tworzy się tam rzeczywiście państwo nowe, bo zgodne z życiem i co za tem idzie trwałe. Może umrzeć Salazar; ale jego konstytucja napewno w swoich zrębach zasadniczych przetrwa, podczas gdy hitleryzm, a nawet faszyzm tylko na swoich twórcach stoją. No i jeszcze trzeba przyznać, że te dalekie portugalskie lekcje i przykłady są o wiele bliższe i bardziej pouczające, w sensie pozytywnym, od czarnych czy brunatnych koszul.

Znane jest powiedzenie, że „historia się powtarza" i znowu można je tu zacytować, bo rzeczywiście w doświadczeniu Salazara coś dawnego się odbija. Jest tu ni mniej ni więcej tylko powtórzenie na małą portugalską skalę konsulatu Bonapartego. Proszę sobie uważnie przeczytać Madelinowego „Napoleona" przed, czy po „Portugalii" Reynold'a, a podobieństwa uderzą w oczy. Obaj nawet mówią o swoich bohaterach, że są Rzymianami.

„*Comparaison n'est pas raison*", ale w tym wypadku jest jednak pewna zbieżność dzieł. Zbieżność, kryjąca się w fakcie, że Napoleon też tworzył państwo nowe, że jego cesarstwo, to był twór nie przejściowy i nie „dziewiętnastowieczny". I wielka szkoda, że następców nie znalazł, inaczej wtedy wyglądałaby nasza Europa.

Zadaniem bowiem dziewiętnastego wieku było zrobienie porządku z ideami wielkiej rewolucji. Trzeba było jakby powtórzyć doświadczenia baroku, — wyłuskać z nich szczupłe ziarno dobra, odrzucić kąkole, iść do jakiejś oczekiwanej przez ludzkość syntezy. To właśnie robił Napoleon, ale sam jeden tylko. Najbardziej powołany do tego prąd myślowy wykoleił się na nowe średniowiecze, na restaurację i nastąpiło *fiasco*. Wiek dziewiętnasty stał się mimo wszystko wiekiem kąkolu.

Ale zadanie, jakie stawia historia, musi być kiedyś spełnione. Nie zrobiło go się sto lat temu, to należy je zrobić dzisiaj i tylko pilnować się trzeba, by znowu jakoś się nie wykoleić, tym razem na totalizm. Trzeba myśleć o naprawdę nowem państwie, — szukać jego wzorów.

KAROL STEFAN FRYCZ

DROGA DO STWÓRCY WSZECHRZECZY

W NUMERZE 23-m „Myśli Narodowej" ukazał się artykuł pod tytułem „Krzyż i Miecz" (podpisany pseudonimem Vir Catholicus), który podobno już wywołał wymianę zdań w druku, a zasługuje pod wielu względami nietylko na dalszą dyskusję, ale i na pogłębienie samego tematu, nurtującego już od pewnego czasu w wielu umysłach nietylko ludzi świeckich, ale i naszego duchowieństwa. Autor rzeczonego artykułu w pierwszym zaraz ustępie (pod numerem 3) wyszedł z założenia, że:

„Można dziś w Polsce dostrzec grupę i wyróżnić typ działaczów katolickich, mających szczególne uprzedzenie do ruchu narodowego, co się wyraża w ich taktyce politycznej i w ciągłych próbach podważania zasad nacjonalizmu ze stanowiska doktryny katolickiej".

Dalej autor w dość długim artykule przechodzi przez drugie orzeczenie, że:

„Przeszkadzać Kościołowi albo opóźniać postępy ruchu narodowego jest to przyśpieszać zwycięstwo komunizmu".

Wreszcie konkluduje „na podstawie mniemań nawet najwyższych Książąt Kościoła", że:

„Miłość ojczyzny jest nietylko dozwolona, ale jest obowiązkiem katolika, skoro sam Bóg stworzył narody, związał ich jednostki i pokolenia węzłami rodzinnymi i rodowymi, które uświęcił w sakramencie małżeństwa, skoro połączył je wspólnym językiem, państwem i kulturą".

Do słów powyższych trudno jest coś dodać, ale można je mocno jeszcze uzasadnić stroną naukową, opublikowaną przez prof. Beniamina Moor'a w jego dziele zatytułowanym „*The origin and nature of life*" (Początek i natura życia) (str. 188) gdzie jest wyjaśnienie „prawa komplikacji" (*Law of Complexity*) — prawa obejmujące wszystkie stany komplikującej się materii martwej, a rozwiniętego dalej i na świat organiczny, a więc i na wszelkie twory ożywione, których koronę stanowi człowiek obdarzony wcieloną w niego duszą, a następnie i naród utworzony z milionów ludzkich jednostek, ale stanowiący nową istotę obdarzoną także duchem, który zwiemy oddawna „duchem narodu" [1]).

Prawo komplikacji w świecie martwej materii układa się na zasadach najnowszych zdobyczy atomistyki i astro-fizyki w piękny łańcuch:

„„Nieznane" a lepiej rzec wszechenergia, elektron i proton, atom, molekuła, słońca i planety, roje gwiezdne wreszcie drogi mleczne czyli „galaktyki", które astronomia w latach najostatniejszych [2]) odnajduje w odległościach 158 miljonów lat światła".

Toż samo prawo ale w świecie organicznym, w świecie życia daje inny, jeszcze piękniejszy łańcuch:

„Pra-komórka, komórka organizm, człowiek obdarzony już duszą odróżniającą „dobro" i „zło" i zdolną pojąć religijną abstrakcję, rodzina, rody, wreszcie naród, jako duchowy twór najwyżej postawiony na naszej Ziemi — twór dający mu sposób wzniesienia swojej duszy na wyżyny altruizmu wzwyż — tam gdzie może panować tylko miłość i poświęcenie".

Atom zatem jako współdziałanie elektronu i protonu stoi na dolnym krańcu wszechświata materialnego, a człowiek uformowany w naród na drugim jego krańcu — krańcu duchowym. Duchowość zaś narodu zasadzać się musi na miłości ojczyzny — miłości pełnej poświęcenia i ofiarności ze swego mienia, zdrowia, a nawet śmierci dla obrony lub dobra tej ojczyzny, które to przymioty nazywamy patriotyzmem podnoszącym unarodowioną duszę ludzką aż do pozbycia się niemal doszczętnie egoizmu, a więc zła, prowadzącego do największego upadku ludzkiej duchowości.

Wiemy jak trudną rzeczą jest wznoszenie się wzwyż, jak świat materjalny ma wielką siłę przyciągającą do zła, jak odrywa od wszelkich poświęceń, jak wreszcie ten świat obniża wszelkie wyższe porywy naszej duszy. Wszystko zatem, co takiemu obniżaniu sprzyja, musi być złem, a wszystko, co odeń oddala — dobrem. Na takim też stanowisku stoi cały chrystianizm, a w szczególności, katolicyzm podnoszący altruizm do rzędu uczuć stojących najwyżej w duszy człowieka, a nakazujący zwalczać egoizm, a więc i wszystkich co rozpowszechniają go czynem, słowem lub materialistycznym pojmowaniem wszechrzeczy.

Jeżeli zatem mamy naród i narody i mamy w nich uczucie zwane patriotyzmem, to mamy je stworzone i przeznaczone na jakiś proces duchowy udoskonalający, coś co ułatwia mu drogę mistyczną wzwyż do Tego co rządzi całym światem — do Stworzyciela.

Patriotyzm więc ułatwia nam drogę do Stwórcy wszechświata, bo On tak chciał i On samą wszechrzecz urzeczywistnił.

To co tak mistycznie obecnie ujmujemy, a co jest, pozornie, może trudne z materialistycznego punktu do zrozumienia, bo wschodzi tu słowo Stwórca wszechświata i jego postanowienie, lub pragnienie, a więc w każdym razie „myśl", — ułatwia nam nauka — ta dzisiejsza nieomal rewolucyjna nauka i to b. lapidarnie bo w niewielu słowach ogłoszonych publicznie drukiem w dziełach pierwszorzędnych gwiazd naukowych, które w oczach profesorów astro-fizyki i astronomii Eddingtona w Cambridge i James'a Jeans'a w Oxfordzie zrywają ostatecznie z materjalistycznym ujmowaniem stworzenia wszechświata.

Prof. Eddington mówi: „Pierwiastek świata jest pierwiastkiem myślowym" (*The stuff of the world is „mind-stuff"*), prof. zaś James Jeans w innym swoim dziele, jakby mu odpowiadał lub wyjaśniał w słowach następujących: „Jeżeli wszechświat jest światem myśli, to i stworzenie jego musiało być również aktem myślowym" (*If the universe is a universe of thought, then ist creation must have been an act of thought*).

Nie trzeba przytem zapominać, że pierwszorzędną potęgę nowoczesnej wiedzy, jaśniejącej nad głowami tych uczonych, już utrwaliło „Królewskie Stowarzyszenie Umiejętności" (*Royal Society of Science*) przedstawieniem ich Królowi do zaszczytu nadania im lordowskich tytułów, co też od kilku lat jest już uskutecznione.

VIR POLONUS

---

[1]) Patrz „Duch wśród Materii" Stanisława Majewskiego (str. 47) rok 1927.

[2]) przy pomocy 5-ciometrowego teleskopu z odpowiednim spektroskopem.

WILNO

ODCZYT WYGŁOSZONY NA UNIWERSYTECIE WARSZAWSKIM W AKADEMICKIM KOLE WILNIAN W DNIU 10 MAJA 1930 ROKU.

(Dokończenie)

II

W SAMEM sercu Wilna stanęliśmy u miejsca, skąd nie ustawało nigdy tętno ogrzewające i wywołujące obieg nowej krwi. Kaplica Królewska.

Sanktuarium. Posągi królów w srebrnej poświacie zbroi, wśród powagi marmurów. Trumienka świętego Królewicza i ambona przenośna — kielich niesiony na skrzydłach orła. Wielkie milczenie i wielka wymowa. Nuta najwyższa, jednobrzmiąca z kaplicą Wawelską. Kraków i Wilno—w jednym zespole, jak te dwa płuca naszej historii.

„Najjaśniejsza Pani—czytamy słowa Jagiełły, zwrócone w akcie Unii Krewskiej z przed pięciu wieków do królowej węgiersko-polskiej Elżbiety—przyjmij wielkiego księcia Jagiełłę za syna i oddaj mu w małżeństwo najukochańszą córkę swoją Jadwigę, królowę polską. Ufamy, że z tego związku wyniknie chwała Bogu, zbawienie duszom, cześć ludziom, a pomnożenie Królestwa".

Odtąd spojone ogniwa pomiędzy Wilnem a Krakowem i wieki wspólnych losów.

Wilno, z siostrzyc młodsza, zyskuje prawa grodów zachodnich. Twierdza na górze i pas obronny murów miejskich — to dzieło Jagiellonów. W czasach gdy powiew włoskiego Odrodzenia wyczarowywał wizję Wawelu Zygmunta-Ojca, Wilno z Zamkiem Dolnym staje się ulubioną rezydencją Syna. Ostatni z Jagiellonów odbywa pielgrzymkę od Krakowa do Wilna za trumną swej miłości: zgasł uśmiech Barbary, co był tu nad brzegiem Wilji rozkwitł.

Złamany miecz nad grobem ostatniego z rodu królewskiego, zgaszony blask królewskiego Wilna.

Nowe sądzone jemu losy. Ma ono przekazać przyszłości nowy testament królewski. Znowu na drugim biegunie Rzeczypospolitej Wilno upatrzone jest do posłannictwa. I sądzonem było, by to dzieło Batorowe stało się kiedyś ostoją nie tylko na krańcach, lecz dla Narodu całego.

Są idee wieczne.

Są idee-symbole, które unicestwić się nie dadzą.

Zdawało się, że w Wilnie już niema symbolów królewskości, że korona, mantia, insygnia ukryte są przed ludem wraz z tymi, co je nosili, pod wiekiem wieków. A tymczasem...

Gdy w roku wyzwolenia, w owym roku 1919 odrodzona została Wszechnica Batorowa, jesień, dzień 11 października dał Wilnu widok niezwykły. Wyruszył z Katedry długi pochód, prowadzony przez biskupów w infułach i kapach. Szli w pochodzie ludzie, ubrani w barwne płaszcze, togi, parami, a szedł z nimi starzec, ubielony szronem, Władysław Mickiewicz. Pochód posuwał się ulicami w pełni słońca. Mieliśmy wówczas obawę, że ulica, tłum, gawiedź nie będzie umiała wytłumaczyć sobie widoku tych niewidzianych już strojów. Nie wiedzieliśmy, jak się zachowa ulica wileńska wobec tego, czego przejawu nie było już od trzystu lat. A tymczasem — usłyszał ktoś jak kobiecina na zapytanie co to znaczy, powiedziała: „Toż to królowie wygnani wrócili!..."

Tak dochodzimy do trzeciego elementu w historycznej sylwecie Wilna. Po ognisku wiary, po ognisku myśli mocarstwowo-królewskiej,—ognisko wiedzy i ducha.

Nasza *Alma Mater.*

Każde miasto, noszące przez wieki nazwę akademickiego lub uniwersyteckiego, jest związane ze swoją uczelnią, wie, że jest ona w pewnym promieniu magnesem. Ale niełatwo znaleźć drugie miasto, w którego dziejach Wszechnica tak byłaby zespolona z glebą, z rodzajem miasta, kraju i ludzi, jak w wypadku Wilna i Uniwersytetu Wileńskiego. Mówię o dobie jego największego rozkwitu. Znowu złożyły się na to pierwiastki różne, elementy nawet niekiedy importowane, ale jak w tyglu przetopiły się te metale w jeden wskutek jakichś szczególnych warunków. Znowu przyczyny złożone, które dały skutki tak niebywałe, że przez sto lat nie przestawano ich badać.

Pozorne sprzeczności: zogniskowuje największe napięcie myśli i najwyższy protest Ducha, kraj nieobfitujący, kraj wstrząsany wypadkami, katastrofami rozbiorów, teren przemarszów pierwszej światowej wojny, kraj wreszcie politycznie bezsilny. Z uczelni spod auspicjów uczonych, świetnych specjalistów, wychodzą wychowankowie, co zdobytą wiedzę przetapiają w słowa wieszcze, w Piękno wiekuiste, Poeci, Prorocy Narodu...

Wytworzył to *spiritus loci.*

A jakim on był niech świadectwem będzie, że jeden z nich, w jednej osobie uczeń i profesor Wszechnicy Wileńskiej, Joachim Lelewel, wygnany, skołatany, z drugiego końca Europy, świadek runięcia Aten wileńskich w gruzy, nie przestawał wierzyć i wszystko, co miał najdroższego ten bogacz-nędzarz, swoje zbiory — przekazał przyszłej odrodzonej uczelni. Księgi te wyprzedziły prochy wielkiego Mędrca i Obywatela, wróciły na swe miejsce w sklepieniu budowy, a On wieziony w wymarzonej asyście polskiego wojska, spoczął na Rossie Wileńskiej.

Jeszcze mały szczegół, mówiący o całości. W nim, jak w kropli wody firmament, odbija się niezwykłość czasów. Gdy w roku zeszłym odnawiano fasadę dawnego Obserwatorium Poczobuttowskiego z fundacji Puzyniny, murarz zajęty odskrobywaniem warstwy tynku, znalazł niespodzianie umieszczone wysoko na znakach zodiaku złote gwiazdy. Po usunięciu powłoki późniejszych farb ukazały się te gwiazdy w pierwotnej doskonale zachowanej pozłocie. Z dołu, z dziedzińca, przy znacznej odległości, oko tych gwiazd prawie nie dostrzega. Umieszczone były one przed 150 laty, jako uzupełnienie znaków zodiakowych. Nie dla efektu, lecz z potrzeby kultu rzeczy najwyższych.

Taka jest wizja dawnego Wilna.

Taka jest wizja niezniszczalnego, niezłomnego Miasta, niezłomnego jak prawa Natury i niezłomnego, jak prawa Ducha.

Nie zdławiła miasta zmora niewoli, nie zaprzepaściła ohyda wschodniego nihilizmu, nie odbarwiła tandeta z okresu upadku architektury.

— — — — — — — — — — — — —

Ale to, co odwieczne i istnieć ma dalej, winno się odmieniać i odradzać.

Winno się odradzać i stawać młode w kolejności pokoleń Wilno nasze.

Muszą stawać nowi ludzie, wsłuchani w głosy tej Ziemi, ludzie dobrej woli, bo do takich ziemia ta przemówi.

Kiedyś, przed 11-tu laty, gdy przypadło mi w udziale mówić, jako artyście, w nowopowstałej Sali Śniadeckich o tradycjach Sztuki na Uniwersytecie wileńskim, zakończyłem tymi słowy:

„Przy odbudowaniu Wszechnicy dwie przyświecały nagrody: jedna, że zejdą się z Polski całej Wysłannicy Światła, co Wilno poznają, umiejętność swoją przyłożą, by to miasto i kraj nasz zbadać i podnieść, a gdy je poznają—by je pokochać. Druga,—że wyrastać tu będzie młodzież, że z tej ziemi powstaną nowe zastępy".

Marzenie to się ziściło. Z Wilna wychodzą i rozchodzą się nasi, jakby dla wywdzięczenia się i żeby się przykładać do Sprawy ogólnej.

A im wierniejszym chce być każdy z nich Sprawie, tym wierniejszym pozostaje Wilnu. Nie może się wykorzenić z niego i, jak ów Pers, trochę swej ziemi nosi zawsze przy sobie.

Pragnę, by każdy widział w marzeniu to miasto i tę ziemię kwitnącymi tak, jak dziś, na wiosnę, gdy tam koło Misjonarzy jabłonie kwitnąć poczynają.

Niech bajka o Wilnie będzie dla każdego bajką o wiośnie w Wilnie.

Niech każdy patrzy na miasto z Góry Zamkowej poprzez pajęczynę wiotkich liści wiosennych. Niech każdy wspominając Wilno, wspomni lata swe najwcześniejsze, najlepsze. Wówczas mu się Wilno otworzy, jak „świetlisty ogród, pełen rajskich zorzy", wówczas bliski będzie najszczytniejszych tradycyj, bo jeden z ówczesnych pamiętnikarzy świadczy, że był czas, kiedy to Wilno, tak często widziane tylko jako miasto ponurych zmagań lub szarej troski, było „miastem uśmiechu".

Wówczas zrozumie owych cudzoziemców, obojętnych względem nas, a których Wilno fascynuje. Zrozumie owego literata z Wiednia, który na dalekiej północy spodziewał się śniegów, a zastał tu „wszystko tak pełne słońca i lata, tak orzeźwiające, tak bliskie natury i otwarte dla radości życia". Znalazł, że „natura i kultura stanowią tu jedno, jak obraz z ramą". I wdzięczny będzie wilnianin jednemu z najdalszych turystów, że po powrocie do Kanady, do Montrealu napisał entuzjastyczny wstępny artykuł, a nadał mu tytuł „Wilno urocze" — „*Wilno la gracieuse*".

Wędrówkę tę po Wilnie czem zakończę?

Przypomina mi się pewna chwila z przed dwuch lat. Przed koronacją miano zbadać obraz Ostrobramski dla konserwacji. Wobec niezliczonego grona osób do tego aktu dopuszczonych, po wielogodzinnych żmudnych i starannych przygotowaniach ruszono obraz, od niepamiętnych lat nieruszany. Gdy go przeniesiono do zakrystii i pierwsze pobieżne badania specjalistów upewniły, że stan desek i malowidła nie wzbudza obaw, kilku nas wróciło do kaplicy przed pusty ołtarz. W świetle lamp świeciły jedynie srebrne wota. Tu mogliśmy się im przyjrzeć. Wszystkie anonimowe. Nieczęsto napis, najczęściej tylko symbole wskazywały, jaka troska, jaki ból doprowadził do tego miejsca, o co było błaganie lub za co dziękczynienie. Kształtów najrozmaitszych wota bardzo dawne, jak świadczył styl. I wota nowe, wota doby naszej. Echa wypadków dnia dzisiejszego, uniknięcia jakiejś katastrofy. Na jednym wotum—płaskorzeźba, samochód.

I w tem utkwiliśmy oczy w małą plakietę. Krótki napis. Te słowa tylko:

„DZIĘKI CI MATKO ZA WILNO".

FERDYNAND RUSZCZYC

KILKA UWAG O BOURBONACH

Z POWODU ARTYKUŁU „UNIWERSALIZM HABSBURGÓW" W NR. 12 Z R. B.

I

CZĘSTO mówi się i pisze w naszych czasach o „twórcach" państw i „budowniczych" Ojczyzny. Demokracje zaczęły się rodzić od półtora wieku łącząc adorację „mas" z bałwochwalczą czcią dla „geniuszów", których niby nigdy tylu nie było, co od czasu francuskiej katastrofy wielkorewolucyjnej. Jako cel dla „mas", jako zadanie „geniuszów" ukazywany jest Cosmopolis — państwo światowe, w którem wyzwolone „ludy" roztopiłyby się na rzecz „Ludzkości".

Takie ideały, taki sposób przedstawiania procesów dziejowych wynika z rozpoczęcia nowej ery od końca XVIII-go wieku. Przekreślono i ustrój i cele, które stanowiły t. zw. cywilizację zachodnio-europejską składającą się z trzech głównych elementów; grecko-rzymskiego, chrześcijańskiego i monarchicznego (narodowo-państwowego). Ustrój nazywany dziś „*ancien régime*" (nazwę tę ustalili Tocqueville i Taine) stawiał między jednostką i państwem szereg organizacji pośrednich: rodzinę, zawód, prowincję (gminę); celem tego ustroju po dojściu doń elementu monarchicznego stało się prócz służenia Bogu, służenie Ojczyźnie t. zn. narodowi politycznie zorganizowanemu w państwo. Z kosmopolisu grecko-rzymskiego, z częściowo z nim spokrewnionego uniwersalizmu średniowiecznego zaczęły się, dzięki dynastjom i wyrobieniu się zasad monarchiczno-tradycjona-listycznych, wydobywać państwa i cenniejsze od państw, choć częściowo przez nie ukształcone, narody.

Te państwa narodowe, które zostały zbudowane przez dynastów w swoim dziejowym pochodzie nie widziały bynajmniej przed sobą ani kosmopolisu, ani internacjonału. W XIV, XV i XVI wieku naprzód osłabiony, potem zerwany i wreszcie jako tako sklecony uniwersalizm cywilizacyjny zdołały monarchie narodowe nietylko przywrócić,

ale także wspaniale wzbogacić od końca XVI-go wieku poczynając.

Pisząc tu o monarchii narodowej i dynastjach mamy na myśli przede wszystkim dzieje Francji sterowanej przez Kapetyngów, pochodzących od Roberta mocnego, hrabiego Paryża i księcia Francji, który zginął broniąc Paryża przed Normanami w r. 866. Kapetyngowie poszli inną drogą niż Habsburgowie. Ci ostatni wynieśli ze średniowiecza uniwersalizm średniowieczny zawierający dwa zasadnicze pierwiastki naszej cywilizacji: grecko-rzymski i chrześcijański, ale bez elementu narodowo-państwowego. Uniwersalizm, czyli powszechność cywilizacyjną pełną, grecko-rzymską, chrześcijańską i narodową, stworzyła monarchia francuska za panowania przedstawicieli gałęzi Kapetyngów, pochodzącej od Roberta de Clermont, młodszego syna Ludwika IX Świętego, za Bourbonów. Ród Kapetyngów, wzmiankowany w aktach dyplomatycznych już w r. 766, dał różnym krajom czterystu dziesięciu monarchów, a wśród nich stu czternastu królów i siedmiu cesarzy; we Francji panowało trzydziestu dziewięciu królów III-ej rasy (Merowingowie, Karolingowie, Kapetyngowie). Po wstąpieniu na tron Henryka IV-go, którego bezpośredni przodek panował w XIII-ym wieku, ambasador wenecki Angelo Badver, pisał, że ten monarcha pochodzi z dynastii, z którą żadna przez swą starożytność i szlachetność nie może współzawodniczyć. Henryk IV sam się przedstawiał jako *„le roi légitime"* i J. Bainville słusznie podkreśla w swoich studiach historycznych, że Henryk III, ostatni Capet de Valois d'Anjou, bardzo mądrze postąpił, nie starając się nadwyrężyć wyższego nad wolę królów prawa sukcesji i sprzymierzając się przeciw Lidze katolickiej z prawowitym, choć protestanckim następcą Henrykiem z Navarry. Henryk IV był jedynym Bourbonem, który musiał jeszcze zwalczać uniwersalizm średniowieczny rzymskiego pochodzenia; na początku wieku, w którym Henryk IV wstąpił na tron, wyklinając Ludwika XII-go odebrał mu papież Juliusz II królestwo francuskie i obdarzył nim Henryka VIII angielskiego późniejszego heretyka; oczywiście nie miało to faktycznego znaczenia, lecz świadczyło o nieustaleniu jeszcze porządku narodowo-państwowego we współżyciu międzynarodowem Europy XVI-go wieku. Henryk IV miał daleko niebezpieczniejsze przeprawy z Ligą katolicką, która wprowadziła do Paryża wojska Filipa II hiszpańskiego i zamyślała o nowej dynastii. Wśród przodków Henryka IV-go, poczynając od Roberta de Clermont, nie zanotowano żadnych postaci nienormalnych; prowadzili oni twarde rycerskie życie, niepogardzające w wolnych chwilach intensywnymi zabawami, i umierali koło sześćdziesiątki, prócz prapradziadka Henryka, zmarłego w 25 roku życia na chorobę płucną nabytą w czasie wypraw włoskich Karola VII-go. Jak przy każdej dynastii, tak samo przy starodawnej dynastii Bourbonów występuje problem *„consanguinité"*, małżeństw między krewnymi. Ze względów politycznych, którym dynastie poświęcały wszelkie inne względy, częste bywały i bywają małżeństwa między krewnymi w rodach panujących; prócz względów politycznych międzynarodowych odgrywa tu także rolę chęć nieposiadania zbyt wielu kuzynów koło tronu. Gdyby nie było małżeństw między kuzynami, to Bourbonowie obejmując władzę w końcu XVI-go wieku mieliby od czasów Roberta de Clermont tysiące różnych przodków, bo zważmy, że w naszych czasach potomek małżeństw nie między krewnymi powinien mieć od XIII-go wieku przeszło cztery miliony sto tysięcy przodków! Otóż Bourbonowie dziś reprezentujący tę dynastię (Jan III de Guise, jego syn Henryk hrabia Paryża i jego synowie Henryk i Franciszek) napewno nie mają tylu przodków — a ich przodkowie mieli ich zawsze mniej niż członkowie innych rodów; np. Ludwik XV zamiast 62 przodków w pięciu poprzednich pokoleniach miał ich tylko 28.

Wielu stronnych i powierzchownych pisarzy (np. Cabanès, Jacoby i in.) wysuwało z powodu małżeństw między krewnymi jaknajgorsze wnioski dla dynastów. Tymczasem bezstronna nauka stwierdza, że małżeństwa między krewnymi powodują w każdym razie wzmocnienie cech fizycznych i psychicznych zarówno dobrych, jak złych. Wszyscy Bourbonowie, potomkowie Henryka IV, byli dobrze zbudowani, żyli raczej długo, potomstwo miewali zwykle bardzo liczne zarówno prawe, jak nieprawe i nie umierali spowodu jakiejkolwiek „degeneracji". Życie Henryka IV, Ludwika XVI, Ludwika XVII i księcia de Berry, syna hrabiego d'Artois (Karola X) zostało przerwane w sposób tragiczny; Ludwik XIV i Ludwik XVIII umarli na chorobę starczą (gangrena spowodu sklerozy); Ludwik XV i Karol X zmarli na choroby zakaźne (ospa, cholera); normalne także były zgony księcia d'Angoulême starszego syna Karola X-go i Henryka V (hrabia de Chambord).

Z monarchów Bourbonów tylko Ludwik XIII umarł, zdaje się na suchoty, ale, jeśli nawet rzeczywiście był na nie chory, to choroby tej nikomu nie przekazał, podobnie jak Franciszek I nie przekazał „włoskiej choroby" swoim dzieciom, które przyszły na świat przed zarażeniem się. Henryk IV miał sześcioro dzieci prawych i siedmioro nieprawych; z synów Henryka IV miał coprawda Ludwik XIII tylko dwóch potomków, lecz Gaston Orleański miał sześcioro dzieci; Ludwik XIV miał sześciu potomków prawych i dziesięcioro nieprawych (dzieci księżnej de la Valliére i markizy de Montespan); brat Ludwika XIV-go, założyciel gałęzi reprezentującej dzisiaj francuski dom królewski (Capet-Bourbon-Orléans), Filip książę Orleański, miał z dwóch małżeństw sześcioro potomków. Wprawdzie po Ludwiku XIV zmarłym w 78-m roku życia na tron wstąpił jego młodszy prawnuk (Ludwik XV), lecz zwrócić trzeba uwagę na odsunięcie od tronu francuskiego przez pokój utrechcki drugiego wnuka Ludwika XIV-go, który jako Filip V założył dynastię Capet-Bourbon-Anjou, do której dziś należą Bourbonowie hiszpańscy, neapolitańscy i parmeńscy. Wielu potomków królewskich dynastów umarło w młodym bardzo wieku (np. pięcioro dzieci Ludwika XIV i Marii Teresy hiszpańskiej), ale tę śmiertelność przypisać trzeba niebezpieczeństwu, jakie dla książątek stanowił sztab przybocznych doktorów, którzy raczej byli dręczycieiami i trucicielami, niż uzdrowicielami; jeżeli nawet Ludwik XIV byłby dłużej żył, gdyby nie słynny doktór Fagon, to tembardziej małe dzieci krzywdziła ówczesna medycyna. U Bourbonów małżeństwa między krewnymi i związki nowe (Ludwik XV z Marią Leszczyńską) nie odróżniają się liczbą potomstwa.

Bourbonowie żenili się z infantkami dopóki trwały wojny przeciw okrążeniu Francji przez Habsburgów, często spokrewniali się z domem Sabaudzkim (bracia Ludwika XVI ożenili się z

siostrami, królewnami sabaudzkimi, a siostra tego monarchy wyszła zamąż za króla Sabaudii). Krwi niemieckiej mają dużo w porównaniu z innymi Bourbonami książęta Orleańscy przez małżeństwo brata Ludwika XIV z Karoliną Bawarską, potem syna regenta Orleańskiego z księżniczką badeńską i wreszcie najstarszego syna Ludwika Filipa z księżniczką meklemburską; starsza linia Bourbonów francuskinh, pochodząca od Ludwika XIV i wygasła w r. 1883 w osobie Henryka V de Chambord, spokrewniła się z dynastjami niemieckimi przez ślub delfina Ludwika, syna króla-słońca, z elektorówną bawarską i potem przez ślub delfina Ludwika, syna Ludwika XV i Marii Leszczyńskiej, z elektorówną saską córką króla polskiego Augusta III (wnukami zatem i synami królewiczowych polskich byli Ludwik XVI, Ludwik XVIII i Karol X).

Jakie skłonności można wskazać jako dziedziczne u francuskich Bourbonów? Zamiłowanie do polowania, niesłychany apetyt i, z przerwami, silną „romantyczność". Henryk IV przeszedł do historii jako „*vert galant*", co mu za jego czasów większą zjednywało popularność, niż wygłoszenie życzenia, „aby każdy francuz miał co niedzielę kurę w garnku"; Ludwik XIII był nadzwyczaj wstrzemięźliwy; w Ludwiku XIV odrodził się temperament Henryka IV, ale przez małżeństwo z markizą de Maintenon stał się król - słońce podobnym do swego ojca; delfin Ludwik i książę Burgundzki, syn i najstarszy wnuk Ludwika XIV-go byli doskonałymi mężami; Ludwik XV był doskonałym mężem dopóki Maria Leszczyńska mu na to pozwalała, potem odezwał się w nim „*vert galant*", ale jego syn i wnuk, Ludwik XVI, byli zimni; ostatni tradycje romantyczne Henryka IV-go podtrzymywał Karol X, jako hr. d'Artois, ale od roku 1801, w którym umarła hrabina de Palastron, ustatkował się zupełnie. Stwierdzić wypada, że zarówno w porównaniu z innymi dynastjami jak i z elektami Bourbonowie francuscy nietylko biorąc pod uwagę ich stosunek do państwa i ich rolę polityczną, ale z punktu widzenia psychicznego i fizycznego stoją wyżej; porównajmy np. panujących potomków Henryka IV ze współczesnymi im monarchami angielskimi, albo Ludwika XIV i XV z polskimi elektami „Piastami". Nie elekcji, lecz selekcji rezultatem była ta pełna i wyrafinowana cywilizacja zachodnio-europejska, która pokojowo zdobyła świat za panowania Ludwików i słusznie podkreślają autorowie bezstronnej książki o Bourbonach, bar. de Maricourt i dr. de Bertrandfosse („Les Bourbons", Paris 1937 èd. Emile Paul frères), że „zasługuje na uwagę, że w czasach, gdy organizacja społeczna dopiero się formowała, troszczono się o tworzenie i utrzymywanie doborowych ras ludzkich; nasza epoka pod tym względem troszczy się tylko o zwierzęta".

(Dok. n.) LESZEK GEMBARZEWSKI

GLOSSY DO SPRAW JĘZYKA I PISOWNI

NIE ZAMIERZAŁEM głosu w sprawie nowej pisowni zabierać, — i nawet kiedy brat mój przed rokiem zgórą dał folgę swej w tym kierunku wezbranej goryczy, pisząc w „Prostozmoście" o „psujach", nie sekundowałem mu, uważając że głową muru nie przebije, choć głowa to głowa a mur... to mur.

Ze jednak, jak się okazuje, sprawa do dziś wcale nie przycichła i widać pocieszający objaw, iż więcej jest głów niż muru, pozwolę sobie i ja powiedzieć co myślę, choćby dla zachowania ciągłości mego w tej sprawie stanowiska. Ciągłości — powtarzam, — ja to bowiem jestem anonimowym winowajcą utrącenia w r. 1908 t. zw. „pisowni Kryńskiego", uchwalonej przez Zjazd Rejowski, przez zredagowanie i zorganizowanie zbiorowego przeciwko niej protestu. Walnie mi tym dopomógł ś. p. Dr. Krček, odpowiadając na replikę prof. Kryńskiego. Od tego czasu przestałem się zajmować „konfekcyą", bo nie będąc fachowcem w zakresie teoryi, nie operuję w dostatecznym stopniu naukowymi argumentami, aby się módz z całym arsenałem po tych okopach przejechać. Zadowalam się przeto pozostawianiem zecerowi swobody poprawiania mych rękopisów publicystycznych, zabraniając tylko stosowania wybryków nowej pisowni tam, gdzie mi szczególnie chodzi o formę literacką i oto, co chciałbym, aby przetrwało i tę obecną i inne mody ortograficzne. Podobnie zresztą uczyniła p. Iłłakowiczówna i wielu innych. Dziś jednak, obserwując nieustępliwą dyskusyę na te tematy, uważam, że i mnie należy ją solidarnie uzupełnić poparciem kilku przeczuwanych dotąd nieśmiało, albo wysunięciem zgoła pominiętych argumentów, choćby bez ogarniania całości tematu i powtarzania tego co już jest podnoszone ze wszech stron.

W r. 1908 stanęliśmy na stanowisku, że modernizowanie pisowni „nie może naruszać dawnych form, może je tylko w odmienny sposób wyrażać". Nie byliśmy przeciwni zmianie pisowni, tylko zmianie wraz z nią wartości dźwiękowych. Jako takie uważałem przedewszystkiem zmienianie głosek *e* i *i* na *y*, *ie* na *i* w narzędnikach na *em*, *emi*, *iem*, *iemi*, etc. Podałem wiele przykładów z rymowania Słowackiego i innych poetów, stwierdzając, że albo musieliśmy spaczyć zupełnie wartości fonetyczne poezji, albo odchodzić od niej i od jej rozumienia właściwego światami, na rachunek— jakiego zysku?... Tak samo zabrnęliśmy, łamiąc rytm klasyczny przez wstawienie w miejsce dotychczasowego *y* lub *i* — *j*, które wymowę samogłoskową wyklucza. Wszystko to nietylko przeczyłoby intencyi autorów, ale zmieniałoby barwę języka i wartość naszej literatury.

Otóż dzisiaj — przyznam się — przyszedłem do jeszcze innego przekonania a zważywszy z drugiej strony coraz fantastyczniejsze pomysły inowacyjne, rozchodzę się z nimi dużo bardziej.

Najpierw co do argumentów fonetycznych. Gramatycy utrzymują, że z jednej strony dokonują tylko pewnych uproszczeń i ujednostajnień, z drugiej zaś idą w kierunku tego co narzuca życie, w ślad za zmianami fonetycznymi dokonywującemi się z biegiem czasu w żywej mowie. Najczęściej mają jednak zły słuch. Nie słyszą np. różnicy pomiędzy *ch* i *h* w mowie centralno-polskiej. Nie wiem jak w Warszawie, ale zwykle wymowa stołeczna — poza Paryżem — jest najgorsza. W całej Polsce niemal słychać różnicę między: *hurtem*

Hel, Helena, huśtawka, hostia, hyr, — a: *chleb, cham,* czy *chrzest* (jakkolwiek prawdą jest że im bardziej na wschód, tym więcej różnica ta jest akcentowana wymową ciężkiego *h* przez uderzanie go głosem od początku). Nie należałoby zresztą dopomagać do zacierania tej różnicy i dobrze, że nowa pisownia, mimo twierdzenia iż różnicy nie słyszy, pozostawia dawne formy.

Skutkiem też złego słuchu wprowadzenie np. w miejsce ostatnio przyjętego *j* w wyrazach obcych *i*, czyniąc wyjątek tylko po *c* lub *z*. Ani to nie jest fonetycznie konsekwentne, ani ortograficznie uproszczone, ani zgodne z tradycyą. Jeśliby szło o fonetykę, to np. *pietyzm, biologia, miazmaty*, wymawia się raczej jak *pijetyzm, bijologia, mijazmaty*, w przeciwieństwie do: *chemia* czy *kopia*. Nie unika się obawy o fałszywą wymowę przy słowie *Owernia*, którą się wymawia jak „*Owerńja*", albo przy „*mania*", czy „*agonia.*" Poco w takim razie unikać *i* po *c*, *s* i *z* w nagłej obawie, aby *Azja* nie wymawiało się jak *Aźa*?! Niewiadomo właściwie dlaczego w wyrazach obcych wszędzie ustalono *i* obok *j*, dopuszczając tylko „oboczności" przy *Maria* i *triumf?* Byłoby już lepsze z dwojga złego, ujednostajnić wszystko na wczorajsze *j* (z wyjątkiem słów gdzie wyraźnie słychać *yj)*, np. w słowach *Holandja*, czy *historja*, — ale najwłaściwszem, jeśliby szło o ujednostajnienie był powrót tutaj do *y*, zarówno fonetycznie bliższe prawdy, jak dające większy „luz" swobodzie czytania i wykluczające obawy czytania *Azyi* jak *Aźa*, albo *kolacyi* jak *kolaća*.

To zaś „*y*" w narzędniku wszystkich rodzajów ś. p. Kryńskiego, o którym wtedy pisałem, a które znowu wróciło, dowodzi najdobitniej braku słuchu. Jest to generalizowaniem fonetyki dzielnicowej, wcale zresztą nie dodatniej, bezsensowna koncesya dla Warszawy. (Pana Artura Chojeckiego, który przyklaskiwał w „Dzienniku Narodowym" temu ustaleniu, pozwalam sobie odesłać— by nie powtarzać dawno przetrząśniętych argumentów — do „Lamusa" z jesieni 1909, gdzieśmy te rzeczy przedyskutowali przeciw prof. Kryńskiemu). Ani się tak poza Warszawą nie mówi, ani to niema tradycyi— wymownym tego świadectwem zostają nazwy geograficzne, lub takie słowa jak „potem" — ani uzasadnienia gramatycznego. Zuboża tylko formy językowe, wprowadza nieraz chaos w jasność składni i — *last not least*— utrudnia szerokim warstwom odczucie form dawnych arcydzieł poetyckich.

Zamiast propagować takie „upraszczanie" języka byłoby dużo dowcipniej głosić np. na te ciężkie czasy standaryzacyę ubrań: worek na każdy użytek, zarówno do tłuczenia kamieni jak do służby dyplomatycznej czy na posiedzenia Akademii...

Ogólne prądy zawarte w całokształcie pewnych dzisiejszych kierunków radeby wogóle zacierać wszystko, co się nazywa tradycyą i zasadniczo walczą z konserwatyzmem, nawet w pisowni. Naturalnie, konserwowanie głupstwa jest jeszcze większem głupstwem. Niemniej nie wolno zapominać, że pisownia ma swą tradycyę i swoją kulturę historyczną, nad którą do porządku lekko przechodzić nie wolno. Jeżeli się coś zmienia, to powinno się to czynić tylko wtedy, kiedy zachodzi istotna i nieodparta potrzeba zmiany, a nie wtedy kiedy się tylko chce koniecznie „coś" zrobić. Zasada konserwatyzmu pisowni ma głębokie uzasadnienie w przeszłości i głębokie racye dla przyszłości. Narody zachodnie, np. Anglia i Francya nie kwapią się z upraszczaniem i ujednostajnieniem ortografii z fonetyką. Po angielsku np. końcówka *ough* wymawia się na 5 sposobów, samogłoskę *ö* słyszymy w wyrazach: *bird, heared, Murphy, world*— samogłoskę *a* w wyrazach: *start, heart* etc... Można zaobserwować ciekawe zjawisko: Im dalej na wschód, tem większy „postęp." Polska jest krajem o cywilizacji zachodniej, a nieraz udaje dorobkiewicza kultury.

Może nam nic nie zależeć na tem co kto inny u siebie robi, ale powinno nas zawsze zastanawiać, dlaczego to robi. I to przecie nie byłoby żadnem kryteryum, gdyby to naszemu własnemu poczuciu nie odpowiadało. Otóż pisownia ma swoje własne życie, swoje prawa i swoją odrębną filozofię, nie przestając być wyrazem dźwięku. .

Jakże będzie — zapyta ktoś może — wyrazem dźwięku, kiedy nie jest jego zwierciadłem, kiedy te same dźwięki pisze się w rozmaity sposób? A czy zwierciadło leżące na ziemi tak samo nie odbije nieba jak gładka powierzchnia wody? Czy nie można użyć do jednej czynności raz tego, a drugi raz innego narzędzia? Czy nie można do jednej mety dojść dwiema drogami? Czy nie można jednej i tej samej rzeczy określić w dwojaki sposób? Nie, to byłby argument powierzchowny. Przecie i nowa pisownia zachowuje *u* i *ó h* i *ch*, przeciw pomysłom bolszewickiego „*nuż w bżuhu*", jakkolwiek sprawy tej nie potraktowano zasadniczo, tylko „kopromisowo". Spróbujmy zresztą powiedzieć Anglikowi, że pisownia nie jest zwierciadłem języka! Pisownia zatem ma swoje życie odrębne. A jest ona nietylko zwierciadłem mowy, ale przechowuje coś więcej: jej historyę. Do tego jest z natury swej jakby bardziej predestynowana w swoim charakterze utrwalającym. Przechowując zaś historyę mowy, pochodność dźwięków, po pierwsze: rozszerza uczuciowe znaczenie wyrazów, a po drugie: utrwala związek języka z jego przeszłością, pozostawiając mu jego korzenie. Wszelkie tendencye dążące do sproletaryzowania języka przez przekreślenie „tradycyi" dźwięku i jego genealogii, nie są żadnem upraszczaniem, tylko zubożaniem języka (już bez względu na fonetykę).

Jeśli zaś chodzi o rzekome konieczności „demokratyczne", ułatwianie nauki szkolnej analfabetom, to dlaczego w krajach, które wymieniliśmy, gdzie panuje pisownia rzekomo „najtrudniejsza" jest najniższy procent analfabetów? — Aby coś mieć czy zachować, choćby bogactwo języka, choćby jego większą rozmaitość i giętkość, nie zaszkodziłoby poświęcić o tyle więcej wysiłku. Nietylko zdrowiej dla mózgu jest myśleć nie mechanicznie, ale nieraz łatwiej jest tak właśnie, to jest nie mechanicznie nauczyć się myśleć i w ten sposób pamiętać. Tą drogą, znając etymologię wyrazu i jego gramatycznego pierwiastka, nietylko odrazu wbija się w głowę pisownię, lecz obwarowuje tok myśli podświadomemi przyporami, niejako logiką drugoplanową, ale umacniającą fundament. Do tego nie potrzeba nawet słowa napisać, ale wystarczy je pomyśleć, czuć napisane tak a nie inaczej, wiedzieć iż ono się tak właśnie pisze, bo to się rozumie samo przez się. Symbol słowny *Boga, buka* i *Bugu* nie jest indentyczny, słowo nie ma wyłącznie waloru akustycznego i nie samo tylko jego brzmienie oznacza jego treść. Wielu ludzi wymawia końcowe *ż, b, g*, lub *d*

miękcej niż *sz*, *p*, *k* i *t*. Ja tego we własnej wymowie albo nie odróżniam, albo prawie nie odróżniam, choć słyszę. Ale wpierał we mnie pewien Ślązak że u nich *ó* wymawia się inaczej niż *u*, np. „*wschód*" inaczej niż „*bud*" czy „*but*". Wiem że conajmniej w jego własnej wymowie nie byłby tego odróżnił najczulszy aparat. Ale on s a m t a k t o s ł y s z a ł, b o t a k d a n e s ł o w o c z u ł.

Oto jak fonetyka jest względną! Wyraża temi samemi fizycznie dźwiękami w rzeczywistości r ó ż n e d ź w i ę k i „i m m a n e n t n e", w których tkwi zasób e n e r g i i p o t e n c y a l n e j, potencyalnej akustycznie, która się nie uzewnętrznia.

Wszelkie próby gwałtownych uproszczeń, a także i wzbogaceń w kierunku fonetycznym, miały krótki żywot, po którym przychodziły restytucye w duchu tradycyi gramatycznej. Te zaś zmiany, które się ostały, zgodne są naogół z tempem powolnej ewolucyi. Że jednak i one zaważyły dalej niż na wyglądzie typograficznym książki, to pewna. Czy dodatnio, czy ujemnie to byłoby kwestyą sporną. W każdym razie zasiedziały się i powrót np. do *à* i *é* pochylonych byłby szokiem, a takie szoki nie służą literaturze. Twórczość nie potrzebuje spokoju, rozmach dyskobola wymaga stałej i twardej podstawy dla nóg.

Wogóle teoretycy form językowych — nie tylko pisowni — zapominają nieraz, jaka jest ich właściwa rola. Spełnialiby np. dobre zadanie, rugując naleciałości obce duchowi języka polskiego (np. skróty i zlepy, które jak słusznie twierdzi X. Trzeciak, są wszystkie modą żydowską). Że jednak język jest materyałem żywym i konserwatyzm jego nie polega na tamowaniu rozrostu, nie wystarczy sucha teorya, ale trzeba mieć do tego pewne predyspozycye osobiste, instykt; nie mając go, zejść łatwo na tory błędne. Jakże długo upierano się, lekceważąc sens żywego źródła ludowego, przy przymiotniku „*zakopański*", zamiast „*zakopiański*". Pierwszy wyjaśnił to był St. E. Radzikowski. Potem i ja („Na Ziemi Naszej") przekonałem prof. Małeckiego, który dowiedziawszy się że przymiotnikowa forma nie pochodzi od rzeczownika Zakopane, ale od "za Kopami", uznał wreszcie owo *i*. Po latach z tej przesądzonej sprawy p. Ułaszyn zrobił wielki wynalazek...

Oczywiście właściwa ocena nie jest rzeczą łatwą gdzie nie można się trzymać suchych formuł. Np. dlatego że coś ma składnię podobną do składni języków ościennych czy łaciny, nie musi zawsze być niezgodne z duchem polszczyzny. Pozatem teoretycy języka zanadto schematyzują formy, nie dając miejsca na luzy, które stanowią o bogactwie form (albo: stanowią bogactwo form). Pamiętam awanturę jaką wzbudził wśród pełnego wrzenia wojny tytuł książki Lotiego: „*La hyéne enragée*". Rzucili się na niego ortodoksi z powodu nie dania *l* z apostrofem przed *h* — on zaś dowodził, że tą formą daje nacisk silniejszy na „hyenę" i że powinny być dopuszczalne obie formy.

Z drugiej strony uznając powyższe dowolności sami teoretycy popadają w fałsze, osłuchawszy się czegoś, a niezawsze mający wyczucie języka. Błędy nie tylko są wtedy po stronie autorów (nie mówię oczywiście o grafomanach albo o osławionych już „fachowych" tłómaczach), ale i po stronie gramatyków. Tak np. dowodem braku poczucia języka jest obrona formy „*Jaśniej słońca*", która jest poprostu ohydą godną kryminału!

Trudno się istotnie o takie rzeczy spierać, które są sprawą subjektywnego wyczucia. Ale zdaje mi się, że gdzie ono w grę wchodzi, tam najmniej do powiedzenia ma właśnie teoretyk, występujący ze swym teoretycznym autorytetem. Tak samo kwestyą wyczucia jest np. używanie słowa „*wszak*" na drugim miejscu. (Co do mnie, czerwono mi w oczach, gdy to słyszę), albo np.: „*odnośnie tego*"... — Co zaś do dowolności form: Niech kto weźmie (albo „weźnie") np. aksyomat że po cieniu nawet przeczenia, po przeczeniu nawet utajonem, musi być *genetivus* a nie *accusativus*. Jestem na to czujny, a przecie są wypadki kiedy i z tej formy się wyłamię, np. obok „nie zrobię *niczego* takiego", powiem: „nie zrobię *nic*". Nietylko nie jest błędem, ale jest zdobyczą języka, jeśli przy zachowaniu formy właściwej, użyje się formy „niewłaściwej", chodzi tylko zawsze o to by jej użyć (a nie „*ją*" użyć, proszę panią") we właściwem miejscu. Każda z tych form ma inną barwę. Takich przykładów jest wiele... Zbytniej schematyzacji form przestrzegają jak wiadomo kulturalni żydzi, i słusznie, bo można sobie wyobrazić co ci zrobiliby z polskiego języka, gdyby ich swobody dopuszczać w nim i uwzględniać.

A np. sprawa neologizmów. Jestem przeciwnikiem gonienia za nowością, ale czasem słowo jakieś nasuwa mi się z tak nieodpartą racją, że nie czuję nawet, iż jest nowe. Ktoś mi kiedyś wytknął z tego powodu zdania: „tonąca w omżach czasu daleka kraina", że nie słyszał dotąd wyrazu „*omże*" i że takiego niema. — Niema, ale się znalazło... Jeśli jest słowo „mżyć", deszcz, mgła „mży", to wedle mego w y c z u c i a wszelkie prawo obywatelstwa ma słowo przezemnie użyte, pochodzące od tego samego pierwiastka, choćby dotąd było nie użyte, dlatego bo n i e b y ł o p o t r z e b n e. Radbym zliczyć ile takich nowotworów skomponowali sami gramatycy, np.: „*oboczność*", „odbierając nam pisarzom nasz chleb". Czy w tym wypadku jakieś słowo wejdzie i utrzyma się w inwentarzu polskiego słownictwa to rzecz inna. Ja mojego nie szukałem i nie komponowałem, przyszło samo. Ale w takich właśnie sprawach jedynem kryteryum jest wyczucie.—Z podłoża tradycyi i gwary język tworzą pisarze. Stopień suggesywności ich wewnętrznie szczerego wyczucia wpływa na zapadanie tego języka w kulturę narodu.—Teoretycy nie powinni pchać się za wcześnie w środek życia. Powinni ostrożnie korygować zboczenia, sztuczności, fałsze. Ale muszą jak d o b r y o g r o d n i k dbać o właściwy stosunek do praw biologicznych języka.

Wracając do pisowni w Polsce, sprawa jej nie tylko nie została załatwiona „od ręki" przez przegłosowanie i kompromisy w Akademii Umiejętności, ale w miarę praktycznego stosowania jej, coraz jaśniej wychodzą na jaw jej błędy, niekonsekwencye i szkody dla języka. Nie znosi próby życia. Podnosi się jeden za drugim indywidualny czy zbiorowy protest. Zupełnie błędny jest komentarz „Prosto z Mostu", że dalsze wprowadzanie zmian, nowa rewizya wprowadzonych prawideł, wprowadzi tylko jeszcze większy chaos. Jeżeli coś jest złe, to musi być zmienione, choćby przez prostą restytucyę do stanu pierwotnego, który był lepszy. Źle jest coś zrobić źle, ale jeszcze gorzej w tem trwać. Pisownia jest zbyt poważnym składnikiem mowy polskiej, aby ją lekceważyć pod pozorem że szkoda roboty, czy szkoda tylu druków dziwaczną pisownią drukowanych, czy szkoda czasu na nowe przeszkalanie zecerów, czy nawet opinii nieomylności członków areopagu ortograficznego.

MICHAŁ PAWLIKOWSKI

NA WIDOWNI

Widmo Przybyszewskiego. — Zjawisko *fin de siecle*'u z pogranicza stuleci. — Nowogródek i Wągrowiec. — Satanizm wytworem materializmu. — Poza dobro i zło, poza prawdę i kłamstwo.—Mizantropia i miłość ludzkości.—Wpływ ducha żydowskiego.—Spowiedź wieku.

W CZASIE ożywionej dyskusji literackiej między formalistami a historykami na temat, czy krytykowi potrzebna jest informacja o człowieku, który tworzy, padła na stół ciężka księga, zawierająca listy prywatne Stanisława Przybyszewskiego [1]). Zrobiły one w szerokich sferach, znających Przybyszewskiego z legendy, niemałe wrażenie. Czyżby to był akt oskarżenia?

Miałem już sposobność pisania gdzieindziej o tym wydawnictwie, ale muszę do niego wrócić ze względu na zainteresowanie, jakie obudziła zagadka Przybyszewskiego jako człowieka.

Wszyscy jesteśmy na sądzie historii, ale z ludzi na widoku publicznym będących, specjalną wokandą w tym trybunale mają pisarze jako ludzie pomawiani o inspirowanie życia duchowego. Oto obecnie złożono temu sądowi owe listy.

Trud niemały, plon bogaty, wykonanie bardzo staranne i kosztowne, dokonane widocznie w głębokim przeświadczeniu, że ujawnienie tego materiału historycznego jest konieczne. Niewątpliwie redaktora wydawnictwa p. Helsztyńskiego zagrzewała w pracy myśl literacka, dla Przybyszewskiego życzliwa, że w ten sposób do spuścizny po pisarzu doda trzy tomy nieznanych dotąd ogółowi pism, objętością bodaj pokaźniejszych, niż wszystkie jego dzieła literackie.

Między dziełami a listami łącznikiem są „Moi współcześni", wydane przez Przybyszewskiego pod koniec życia dzieło pamiętnikarskie. „Listy" obecnie wydane są jakby aneksem do tych pamiętników. Historia, pomimo obfitości materiału, sporo będzie miała do roboty przy dociekaniu prawdy, materiał ten bowiem jest jednostronny. Należałoby wydać obok listów odpowiedzi na nie, a co do pamiętników — zapytać owych „współczesnych", jak to było w rzeczywistości. Można byłoby się bez tego obyć, gdyby się miało zupełne zaufanie do słów Przybyszewskiego. A właśnie o to chodzi. Sprawa Przybyszewskiego w historii to właściwie spór o zaufanie.

Są twórcy tak osobliwej budowy, że są wielkimi pisarzami tylko gdy tworzą w natchnieniu jako artyści; poza tymi transami zachowują się jak ludzie normalni, ich listy nie mają wiele wspólnego z literaturą, nie należą do ich twórczości, stanowią istotnie tylko materiał uboczny. Przykładem listy Mickiewicza i Kasprowicza. Co do listów Przybyszewskiego zachodzi ta trudność, że niesposób z nich ustalić, gdzie się zaczyna i gdzie kończy rzeczywistość, o której informować miałby adresata, a gdzie literatura. W tym znaczeniu „listy" należą do literatury. Potrzebna ona była autorowi „listów": 1) jako ćwiczenie i popis; 2) jako środek jednania sobie ludzi a zwłaszcza sposób wabienia kobiet, — to była niejako zawodowa jego skłonność, ale nade wszystko: 3) jako potrzeba ciągłego odszukiwania w sobie zagubionego „Ja".

Była to jednostka nie ufundowana dostatecznie w pokładach moralnych, jakby nic nie dziedziczyła, przez to chwiejna, bez pionu i moralnej osobowości. Taki rodzaj kalectwa zdarza się przy intensywnej gospodarce na polu intelektualnym, gdy do dóbr oświecenia przystępują jednostki ze zbyt małym kapitałem kultury moralnej. Najtęższe jednostki twórcze pochodzą z rodów uprawnych przez szereg pokoleń w jednolitej kulturze. Chłopska kultura świetny dała plon w Kasprowiczu. Tutaj zaś stało się coś, co świadczy o przerwaniu tej ciągłości kulturalnego dziedzictwa. Młody Przybyszewski zaczyna wszystko na nowo. Otrzymał od urodzenia uzdolnienia intelektualne i talent muzyczny, ale w podstawach — nieurobiony zupełnie system uczuciowy i wolowy: stan duszy nihilistyczny.

Ojciec, nauczyciel wiejski, uważał się podobno za człowieka zdeklasowanego; matka od ojca organisty przekazała synowi muzykalność. Grały w chłopcu tęsknoty, dla których mógł szukać zaspokojenia w wyżyciach fizycznych. Stąd narkotyki i owe odczłowieczające „*libido*" seksualne. Nie było w duszy tej nadbudowy kulturalnej nad zmysłami, coby dołączyła swój głos do tęsknot muzycznych, będących przecież tylko nastrojem, szukającym dla siebie treści ideowej.

Żeby nie być gołosłownym, przytoczę parę zdań z listów najwcześniejszych, kiedy Przybyszewski, jako chłopiec 17-letni (1885), uczył się w Wągrowcu. Pisał wiele listów do panienek, które poznawał na feriach, zapraszany na wieś przez kolegów. Czarował je swoją literackością, swoją wiedzą, swoim weltszmercem, swoim nihilizmem, a wszędzie tłumaczył się frazesami z ostatnio przeczytanej książki. Był tam i werteryzm i bajronizm, potem nietzscheanizm, spenceryzm itd. Spotyka się już wtedy cyniczne „he-he", albo szydercze „ha-ha", wstawiane w miejscach patetycznych, które tyle dreszczów budziły potem w Krakowie swym satanizmem. Oczywiście każdą panienkę zapewnia, że do niej jednej na świecie ma zaufanie i spowiada się nie tylko z poglądów, ale z nałogów.

Dowiadujemy się z listów do panienek i do matki, że się narkotyzuje (papierosy, herbata, wódka). Chłopiec 17-letni pisze do matki: „siła woli słabnie i dziecinnieje wobec siły przyzwyczajenia" (str. 19). Już z pierwszych kart życia widzimy, że młodzieniec znajduje się w zupełnej niewoli swych zmysłowych pożądań i że ani myśli im się przeciwstawić. Chwali się swoją niezależnością, że nie ma żadnego „poczucia obowiązku". Śmieje się ze skrupułów, które by mu popędów fizycznych nie pozwalały uznawać za jedyną prawdę. Skarży się przed pannani na „cierpienia".

„Wszyscy poeci — pisze do jednej z nich — kłamią, w poezji szukają absolutyzmu (!), szukają prawdy, a biedni nie wiedzą, że tam tylko cierpienia i męki. Ha! Więc może ten szał cierpienia jest absolutną prawdą, a w takim razie jestem uosobioną prawdą (25)".

I tu można mu trochę wierzyć, bo przecież mógł cierpieć w klatce tak niewybrednego sensualizmu. Tylko wylot idealistyczny daje tęsknotom radosne poczucie wolności. Zresztą i życie samo staje się dramatem, gdy się ma dla niego tylko

---

[1]) Stanisław Przybyszewski. „Listy". Zebrał, życiorysem, wstępem i przypisami opatrzył d-r Stanisław Helsztyński. Tom I 1879—1906. Z 76 ilustracjami i 8 podobiznami autografów. (Warszawa 1937). Tow. Przyjaciół Nauki i Sztuki w Gdańsku i S-ka wyd. „Parnas" Polski w Warszawie. Str. XL i 375.

cynizm, gdy pozostaje tylko (he-he), śmiać się „zawsze i wszędzie”. Takie wyznanie czyni młodzieniec do ukochanej, dodając:

„Pomyśl pani—jestem sceptykiem, bez wiary, bez nadziei, bez celu życia...“

Nie dodał: bez miłości, bo nie chciał panny zrażać do siebie. Ale do kogo innego nieco później pisał, tłumacząc się z kalectwa:

„Mogę pogardzać ludźmi, jestem egoistą aż do okrucieństwa, ale to wszystko nie przeszkadza mi kochać całą ludzkość... Jestem zdolen do wszystkich poświęceń (53)”.

Tutaj mu nie wierzymy. Współczujemy tej „ludzkości” i tym sferom socjalistycznych robotników, dla których się „poświęcał” w parę lat potem, jako redaktor „Gazety Robotniczej” w Berlinie. Z tych naiwnych, satanicznych źródełek w Wągrowcu popłynąć mógł do literatury—i to niemieckiej—taki strumień, który przybrał nazwę *De profundis*”. O tym utworze pisał do socjalisty warszawskiego T. Toeplitza (105):

„Obecnie pracuję nad drobną rzeczą, którą wskutek satanizmów tylko w 200 egz. drukować będę. (Miłość płciowa między bratem a siostrą)”.

To jest właśnie ciekawe, o czym dowiedzieliśmy się z „Listów”, że ów satanizm mógł mieć swoje początki w Wągrowcu. Jakże inny był romantyzm w Wilnie. Romantyzm, to rozwiązywanie zagadnienia miłości. Protestanckie racjonalizowanie życia miłosnego (choćby owa obyczajowa instytucja „Schatzów”), a wreszcie materializm końca XIX w. nie mogły sprzyjać hodowli idealizmu. Jakże dramatycznie reagowała natura Kasprowicza na te ponęty ducha czasu i środowiska, którym uległ Przybyszewski! On także był w ich pętach, ale miał kulturę moralną mocną. Z tych samych byli szkół, a jednak „Miłość-grzech” to rzecz dla Przybyszewskiego jakby z innego świata.

To w dziedzinie poezji, ale jakże w życiu radzić sobie może człowiek nie znoszący zasad, obowiązku, odpowiedzialności, „egoista aż do okrucidństwa”, a przytym wszystkim pragnący korzystać ze wszystkiego, co może dać społeczeństwo lub inna jednostka? Nie może być szczery i prawdomówny.

Przybyszewski miał to już w naturze od młodości. Do jednej z panien pisał:

„Nie wierz mi, Droga Pani — mnie cały świat nie wierzy”.

A do matki swojej, gdy go brała na spytki' odpisuje:

„Nie wiem czemu to przypisać — rzadko kto mi wiarę daje. Wydaje mi się, że ty, matko moja droga, jesteś znowu przysposobiona na jakieś kręty węty i matactwa z mojej strony (23).”

Z listów widać, że to mijanie się z prawdą nic nie kosztuje autora, płynie z instynktu i że doskonale mu służyło. Jak z tą naturą radził sobie Przybyszewski w poezji, na to odpowiadają krytycy, że „*Dichtung*“ samo jest wymysłem i neutralizuje osobistość pisarza. Trzeba mieć co do tego zastrzeżenia, w każdym razie listom odbiera ta wada charakteru wartość dokumentów obiektywnych.

Jeszcze jedno. Nie wiedziało się dotąd, że Przybyszewski znajdował się w Wągrowcu w tak bliskich stosunkach z żydami. Jako korepetytor w domu kupca Foerdera romansował dłuższy czas z panną Rosą Foerder, a potem w Berlinie żył w związku nieślubnym (troje dzieci) (?) siostrą jej Martą. Porzucona dla innej pozbawiła się z życia. Fakt tego stosunku jest ważny, bo tłumaczy dlaczego Przybyszewski we wczesnej młodości tak patriotycznie usposobiony, staje się kosmopolitą i z taką łatwością wchodzi do literatury niemieckiej. Wyjaśnia się także, dlaczego Przybyszewski tak gorliwie wziął się w Wągrowcu do studiowania języka hebrajskiego, oraz jaką drogą doszedł do poznania Kabały i wogóle wiedzy tajemnej. Wyjaśnia się jego moda na socjalizm, tudzież owa „miłość ludzkości”, idąca w parze z pogardą dla ludzi, a wreszcie tak bardzo uproszczony pogląd na możliwość życia poza dobrem i złem.

„Listy” Przybyszewskiego dostarczają wiele cennego materiału historykowi głośnego zdarzenia, którym Młoda Polska powitała wiek XX. Lektura bardzo interesująca nawet sensacyjna, ale nie miła dla tych, którzy pragnęliby legendzie Przybyszewskiego życie przedłużyć.

Przyznaję, że nie miałbym ochoty zajmować się dalszym ciągiem żywota Przybyszewskiego. Czyż miałbym opisywać i oceniać każdy jego postępek w tym pasmie odruchów człowieka bez zasad i odpowiedzialności moralnej? Interesował mnie początek tego żywota — skąd się wziął taki człowiek. Ciekawsze pod względem historycznym byłoby badanie polskiego środowiska na przełomie stuleci, które z takim entuzjazmem reagowało na zjawisko w postaci Przybyszewskiego.

Uprzytomnijmy sobie te czasy w Krakowie. Dobrym przewodnikiem w tym kręgu niesamowitym będą dla historyka świadectwa w odpowiednich relacjach Tadeusza Boya-Żeleńskiego, który nie miał co do Przybyszewskiego złudzeń. Na tle tego okresu wyraziście sprezentują się nam arcykapłani literatury Miriam-Przesmycki i Wilhelm Foldman, którzy z takim namaszczeniem sprowadzali Przybyszewskiego do Polski i nową erę w literaturze od przybycia jego liczyć poczęli.

Ile w tym czasie było bezdroża literackiego, wystarczy pomyśleć, że równocześnie te same organy grały z tą samą mocą na cześć Kasprowicza, czy też Norwida. Że dotąd ten kurs, dany Przybyszewskiemu, utrzymuje się w pewnych sferach, dowodem stanowisko p. St. Helsztyńskiego, który, jak widzę, trudząc się nad wydaniem listów Przybyszewskiego, pozostawał w niczym nie zrażającym się mniemaniu, że wydawnictwem tym przyczynia się do wzmożenia hołdu powszechnego dla Przybyszewskiego.

Błędem jego jest nie to, że wydał ten nad wyraz przykry materiał, lecz że wydawnictwu swemu nadać usiłował charakter hołdu i nie zapobiegł, żeby nieświadome rzeczy Tow. Przyjaciół nauki i sztuki w Gdańsku tę intencję w przedmowie podzieliło. Rodzi się z tego powodu smutna refleksja o braku krytycyzmu moralnego w obecnym młodym pokoleniu literatów.

Nie znaczy to bynajmniej, aby samo wydawnictwo było niepotrzebne, albo źle zrobione. Owszem, jest to materiał historyczny bardzo pożyteczny dla historyków tego schyłkowego okresu i za wydanie go należy się wdzięczność tym, co się trudzili nad nim i na wydawnictwo łożyli.

ZYGMUNT WASILEWSKI

O KOMUNIŹMIE I BEZBOŻNICTWIE

OBRADY KONGRESU KATOLICKIEGO W POZNANIU

O PRZEBIEGU sproszonego do Poznania Międzynarodowego Kongresu ku czci Chrystusa Króla powiadomiła prasa codzienna. Podajemy w skrócie według sprawozdań K. A. P. informację o tematach poruszonych przez referentów.

1. W drugim dniu Kongresu (27.VI) w auli uniwersyteckiej wykładał po francusku o. Ledit n. t. „Królestwo Chrystusowe a parodia chrześcijaństwa w kryzysie współczesnym". Na wstępie prelegent zaznaczył, że powszechny niepokój płynący z niezwykle trudnego stanu materialnego, w jakim świat się znalazł, skłania masy do wyjścia poza szranki obecnego ładu. Masy chcą zdobyć raj ziemski i skłonne są chwytać się środków choćby najgwałtowniejszych, by to pragnienie urzeczywistnić, tymbardziej, że różni przywódcy komunistyczni czy socjalistyczni odzierają dusze z wierzeń religijnych i zasad moralnych. Mnożą się bowiem fałszywe bogi i fałszywi prorocy, podsycający nieprzyjazne nastroje tłumu względem religii i Kościoła.

W tym stanie rzeczy nic dziwnego, że komunizm osiągnął wielkie powodzenie, o czym świadczą dane statystyczne. W takiej np. Francji do niedawna partia komunistyczna liczyła 70 tys. członków, dziś liczy ich 300 tysięcy. Za ten stan rzeczy w znacznym stopniu odpowiedzialne są rządy i państwa, które tolerują agitację komunistyczną. Bezpośrednim tego wynikiem jest podniecanie w masach nienawiści do Kościoła i rozpętanie walki z Bogiem.

Wobec tego niebezpieczeństwa Kościół św. z woli Ojca św. zmobilizował wszystkie swe siły, by dać skuteczny odpór atakowi wrogów wiary. Podwójny program nierozerwalnie ze sobą związany, program uświęcenia się i przygotowania do zwycięskiej walki przynosi encyklika *„Divini Redemptoris"*. Jednym z najważniejszych wniosków, wypływających z doświadczenia dziejowego, jest, że niema zwycięskiej walki bez spójni ideowej i łączności wysiłków w szeregach katolickich.

Kto więc dopuści do tego, lub będzie chciał wywołać roźdźwięk w szeregach katolickich, ten przyjmuje na siebie straszliwą odpowiedzialność za najzgubniejsze tego skutki. Ożywiony ufnością, zbrojny posłuszeństwem, pokorą i mocą Bożą staje Kościół na przełomie czasów, by raz jeszcze zjednoczyć ludzkość w potężnym porywie odrodzenia duchowego, by pociągnąć i rzucić do stóp zwycięskiego Galilejczyka świat cały szukający ocalenia.

2. Następny wykład o stanie bezbożnictwa w Polsce wygłosił o. Urban T. J. Mówca podkreślił przede wszystkim, że w braku ścisłych danych nie może przedstawić całkowitego obrazu ruchu bezbożniczego w Polsce. W każdym bądź razie musi stwierdzić, że jest on bardzo silny, a grozi zwłaszcza Kościołowi i rodzinie chrześcijańskiej. Przejawia się on w działalności związku wolnomyślicieli i masonerii.

3. Po południu tegoż dnia wygłosił znakomity referat o. Kosibowicz T. J. n. t. „Duchowe przyczyny ruchu bezbożniczego". Mówca wskazał na wstępie, że ateizm pozytywny negujący Boga i zwalczający Kościół cechuje bezbożnictwo sowieckie. Komunizm wogóle jest systemem totalnym, propagującym nietylko nowy ustrój społeczny, gospodarczy, polityczny, ale i swoje poglądy filozoficzne i moralne. W komuniźmie tkwi demoniczna siła idei. Jej podstawą nie są bynajmniej same osoby kierownicze, które umierają lub są usuwane gwałtem przez swych współtowarzyszy. Komunizm działa rozpędem swej przewrotności, rozmachem swej utopijności, która wpływa zaraźliwie na psychikę mas i porywa je do nieobliczalnych czynów. Filozofia komunizmu to marksizm, a „kapitał" ma być dla mas tym, czym Ewangelia lub *„Summa Theologiae"* dla chrześcijan. Komunizm staje na straży pierwotnej ideologii Marksa, wysnutej z doktryny materialistycznej Feuerbacha i filozofii Hegla. Egzegezę do „Kapitału" Marksa daje sam Lenin.

Według komunizmu materializm jest definicją wyrażającą wszechludzkie prawdy. Wszystko sprowadza się do działania ślepych sił natury i podstawowych ruchów materii. Według tej doktryny również i duch nie jest elementem samodzielnym, lecz wynikiem ruchu materii. Następnie prelegent dotknął teorii poznania w celu udowodnienia zasadniczej rozbieżności i niezgłębionej przepaści między filozofią spirytualistyczną chrześcijańską, stwierdzającą istnienie niematerialnych wartości a filozofią krańcowego materializmu, który wyznaje komunizm. Dłuższą uwagę poświęcił prelegent omówieniu drugiego czynnika komunistycznej doktryny, dialektyce heglowskiej, którą marksizm z idealistycznej przekształcił na materialistyczną. Tej zasadniczej doktrynie komunizm jest ślepo wierny. Wszelkie odchylenia na prawo czy lewo tępi żelazną ręką. Tak robił Lenin, a dziś nie mniej zawzięcie strzeże komunistycznej ortodoksji Stalin. Jest więc złudzeniem mniemanie, że kiedykolwiek może dojść do porozumienia między chrystjanizmem a komunizmem.

W swych praktycznych konkluzjach wskazał prelegent na braki w przygotowaniu inteligencji katolickiej do przeciwstawienia się filozofi marksistowskiej. Jest to skutek oparcia wychowania szkolnego, przez które przechodzą również katolicy, na światopoglądzie materialistycznym, co zwłaszcza przejawia się w takich przedmiotach, jak przyroda, prawo, filozofia. Bezbronnej naszej młodzieży wtłacza się w tej drodze różnego rodzaju błędy doktryny materialistycznej i to pod obsłonkami nauki i prawdy. Stąd wypływa kategoryczny postulat, że należy system nauczania oczyścić skrupulatnie z wszelkich naleciałości materialistycznych.

4. Następnego dnia wystąpił z referatem znany filozof ks. dr. Sawicki z Pelplina n. t. „Moralne przyczyny bezbożnictwa". Na wstępie scharakteryzował poszczególne typy bezbożnicze, wskazując, iż obok ateizmu radykalnego można wyróżnić ateizm względny, który pragnie zastąpić Boga wiedzą, sztuką lub ubóstwieniem człowieka. Prelegent dzieli ateistów na typy: bierny i czynny, teoretyczny i praktyczny. Przechodząc zaś do omówienia moralnych przyczyn ateizmu ks. Sawicki dopatruje się ich w braku uświadomienia religijnego i miłości do prawdy, w trwarej niechęci jej poznania, dalej w niemoralności, pysze serca i ducha, wreszcie w swoistym braku zmysłu religijnej tęsknoty do Boga.

Szerzej omówił prelegent zagadnienie niemoralności, wskazując na jego niezwykle silne związki z niewiarą. Ta słabość moralna, która charakteryzuje nietylko zresztą zdecydowanych ateistów jest następstwem przywiązania do życia doczesnego, dalej braku pamięci na odpowiedzialność w życiu wiecznym. Wina za ten stan rzeczy spada na społeczeństwo katolickie, które legitymując się wiarą w Chrystusa niestety często nie ma Go w sercu, posiadając Prawdę nie stosuje jej w życiu z całą konsekwencją. Jako aktualne zadanie prelegent sformułował, że trzeba nietylko bronić skarbu wiary, nietylko zwalczać atakujących go ateuszy, ale i nieść przez świat wysoko wzniesiony sztandar odrodzenia moralnego.

Hasłem więc jest obok defensywy propaganda. Najlepsza apologetyka to chrześcijańska miłość, przykładne życie, modlitwa. W teorii poznania — co należy stale mieć na uwadze — gra rolę nietylko rozum, umysł ale również wola i uczucia. Oddziaływując więc na te wszystkie czynniki można dopiero stworzyć skuteczny sposób przeciwdziałania bezbożnictwu.

5. W godzinach popołudniowych pierwszy w progra

mie znalazł się referat ks. prał. dr. Żychlińskiego „Metafizyka komunizmu a mądrość Chrystusowa". Prelegent w mocnym wywodzie wykazał, że system komunistyczny buduje na nienawiści, gdy chrześcijaństwo na miłości, której społeczny wyraz został jasno i całkowicie sformułowany w 9 błogosławieństwach z Kazania na Górze. Ich pełne zastosowanie nieomylnie doprowadzić może do odnowienia świata. Gdy jednak chrześcijaństwo chce osiągnąć naprawę ustroju przez naprawę człowieka, komunizm wręcz odwrotnie zmierza przez naprawę ustroju do poprawy człowieka i na tym się właśnie załamuje.

6. Ogromne wrażenie wywarł wygłoszony po włosku odczyt prof. Corsanego z Papieskiego Instytutu w Rzymie n. t. „Socjalna odbudowa życia chrześcijańskiego". Doktryna komunistyczna—stwierdził na wstępie prelegent—odbyła długą ewolucję. Już w starożytności panował praktyczny ateizm, wyrażający się w klasycznej wprost formule: „widzę rzeczy doskonałe, pochwalam je, dążę jednak do rzeczy niegodziwych, złych" („*Video meliora, proboque, deteriora sequor*"). Wiek XIX sformułował ateizm teoretyczny, cel jego upatrując w zwalczeniu wiary w Boga.

Wśród licznych powodów tego nowoczesnego bezbożnictwa należy wyróżnić społeczne i intelektualne. Społeczne, jak to wskazują Encykliki, są najzupełniej przypadkowe. Mimo to jednak ateizm zdołał zatruć duszę ludzkości, apelując do instynktów, rozpętał nad światem groźną burzę walki z Bogiem. Katolicyzm winien się jej przeciwstawić słowem, czynem, propagandą i akcją. W katolicyźmie ludzkość winna ujrzeć jedyne źródło sprawiedliwrści społecznej, o którą tak głośno woła. Dla ukazania katolicyzmu z tej strony wiele już zrobiono, ale poprzestać na tym nie można. Wskazać należy przede wszystkim światu, że nic nie dadzą mu nauki społeczne bez wpływu na nie społeczności Kościoła. On to bowiem nietylko oddziaływuje na umysł, ale i uczucie, daje nietylko doktrynę, ale i dyscyplinę moralną. Jakież są wnioski praktyczne? Pierwszy wniosek wiary wypływającej z zasady, że „Bóg jest panem naszym", drugi to wniosek czynu, wskazujący katolikom, by razem ze swą hierarchią stawali do walki o nowy ład społeczny, o pracę dla głodnych mas, o zabezpieczenie ich potrzeb materialnych by mocnym głosem przeciwstawiali się frontowi nienawiści. Niestety front ten umacnia postępowanie dzisiejszego kapitalizmu, który przez nieludzki wyzysk, brutalny egoizm, przez brak zrozumienia dla niedoli mas pracujących, pcha je w objęcia komunizmu a pod jego przewodem do rewolucyjnej desperacji. Duch zysku, królujący w świecie kapitału, podaje sobie ręce z duchem nienawiści i zniszczenia, głoszonym przez komunizm.

7. Jeden z ostatnich wykładów wygłosił prof. Oskar Halecki w językach polskim i francuskim n. t. „Duchowa odbudowa życia katolickiego". Bezbożnicy—zaczął prelegent swe znakomite wywody — bardzo często operują hasłami i ideami, które nie są ich własnością, skradzione bowiem zostały ze skarbca nauki Chrystusowej. Bezbożnicy świadomie jednak ich nadużywają nie dla tego, by ludzkość uszczęśliwić, lecz by z nauką tą walczyć. Hasła bezbożnicze operują w trzech dziedzinach: ustroju, kultury i polityki. W dziedzinie ustrojowej przejęli bezbożnicy hasła rewolucji francuskiej i żonglują nimi bardzo zręcznie w swej szerokiej propagandzie.

Pierwsze z tych haseł to — wolność. Jeśli zaś o wolności mowa, to w całym blasku rozwinąć się ona może tylko w Królestwie Chrystusowym, gdyż w jego granice wstępujemy z wolnej i nieprzymuszonej woli. Drugie hasło — to równość. A gdzież istnieje większa równość, jeśli nie w Królestwie Chrystusowym, gdzie ludzie bez względu na pochodzenie klękają zgodnie przed tym samym konfesjonałem, czy przed ołtarzem. Tu są oni sądzeni nie według przywilejów, a jedynie według zasług osobistych. Żadne absolutnie inne względy nie grają tu roli, jedynie wartość człowieka i jego czynów. Trzecie hasło — braterstwo. Czy można mówić o braterstwie tam, gdzie panuje gwałt i nienawiść. Pełnię braterstwa zapewnia tylko Królestwo Chrystusowe, które nie przemocą, lecz przez urobienie i przekształcenie wewnętrzne panuje nad swymi obywatelami. W dziedzinie kulturalnej bezbożnicy głoszą złośliwie, że pragną wyzwolenia świata z ciemnoty średniowiecza, spod reakcji religijnej.

Znane to zarzuty, które dawno już obaliła nauka. Faktem jest, czego nikt nie może zaprzeczyć, że właśnie w średniowieczu Kościół okazał się twórcą najwyższych instytucyj naukowych—uniwersytetów. Prawdą jest dalej, że kultura chrześcijańska, dzięki temu, iż nie jest związana wyłącznie z jedną kulturą narodową, lecz czerpie z nich wszystkich i wzajemnie udziela im swych pierwiastków, wzbogaca przez to w sposób trwały kulturę ogólno-ludzką. Kultura komunistyczna, bezbożnicza, nie ma przeszłości, odrzuca *a limine* tradycje. Zupełnie inaczej kultura Królestwa Chrystusowego. Dzięki niej trwałe wartości są i mogą być przekazywane z pokolenia w pokolenie, przez co wzbogaca się ogólny skarbiec kultury.

Rozwój życia kulturalnego wymaga sprzyjających warunków politycznych. Kościół jednak nigdy nie uważał za wskazane łączyć się z jakimś jednym kierunkiem politycznym, widząc istotę swej misji w tym, by być „wszystkim dla wszystkich". I przez to właśnie oddał w dziedzinie politycznej ogromne usługi całej ludzkości, gdyż do jej zmiennych tendencyj politycznych wnosił jedyne, najwyższe polityczne hasło: Królestwa Chrystusowego, hasło pokoju w narodach i pokoju między narodami. W tym duchu pojęte Królestwo Chrystusowe jest zawsze i wszędzie. Uciszmy więc serca nasze od rozgwaru świata na wzór Serca Chrystusowego i niech nas złączy jedno nieśmiertelne hasło: *Christus regnat*, *Christus vincit*, *Christus imperat*!

8. Po południu ostatni wykład wygłosił J. E. ks. biskup Rożman z Lublany n. t. „Religijne odnowienie chrześcijaństwa". Dostojny prelegent wskazał, że środkiem zasadniczym tego odnowienia musi być wiara mocna i żywa. Na jej fundamencie ma się oprzeć nasze wewnętrzne uświęcenie a jej konsekwencją winny być czyny katolickie. Jako środki utrwalenia wiary ks. biskup Rożman wskazał: rekolekcje, udział w Akcji Katolickiej, modlitwę, niesienie pomocy bliźnim i chrześcijańską pokorę.

NAUKA i LITERATURA

RUCH WYDAWNICZY

Śliwińska Ewa. „Historia naszych zbóż". Lwów 1937. Państw. Wyd. Książek Szkolnych. Str. 89 + 4 nlb. 44 ilustr.

Praca p. Śliwińskiej jest przykładem dobrze pomyślanej książki naukowo-popularnej. Na 89 stronicach przedstawiła autorka w sposób jasny i przejrzysty, opierając się na najnowszych badaniach historycznych i etnograficzno-porównawczych, rozwój dziejowy kultury roślin uprawnych od najdawniejszych czasów aż do dni naszych. Właściwą „historię zbóż" poprzedziła obszernym omówieniem różnic pomiędzy trawami dzikimi a zbożami, które zadecydowały o uprawie tych ostatnich przez człowieka, oraz sposobów eksploatacji roślin jako pokarmu w okresie, kiedy rolnictwo nie było jeszcze znane.

Książkę, bodajże pierwszą tego rodzaju w naszej literaturze naukowo-popularnej, czyta się lekko, z niesłabnącym zainteresowaniem. Autorka ma dar żywej i zajmującej narracji. Bardzo szczęśliwie dobrane są ilustracje, wykonane osobiście przez autorkę. Estetyczny wygląd zewnętrzny oraz niska cena będą niewątpliwie sprzyjały rozpowszechnieniu, tej pożytecznej książki.

*

Inż. Aleksander Potyrała. „Przemysł okrętowy". Warszawa 1937.

Na czoło licznych prac propagandowych, wydawanych przez Ligę Morską i Kolonialną, wysuwa się ostatnia roz-

prawa inż. A. Potyrały, poświęcona zagadnieniu naszego przemysłu okrętowego. Autor, wybitny zawodowiec w dziedzinie budownictwa okrętowego, przedstawia w sposób jasny i przekonywający, że jest rzeczą całkowicie możliwą z punktu widzenia przemysłowo-technicznego i korzystną z punktu widzenia przemysłowo-gospodarczego budowanie okrętów wojennych w kraju. Rozważania inż. Potyrały wykazują, że wbrew rozpowszechnionemu dość mylnemu mniemaniu, wytwórnie polskie mogą się prawie całkowicie podjąć uruchomienia tej nowej gałęzi przemysłu. Uruchomienie zaś budownictwa okrętów wojennych w kraju stwarza jednocześnie możność budowania w Polsce również statków handlowych. Rozprawa zasługuje ze wszech miar na dokładne przeczytanie i jaknajszersze rozpowszechnienie. (W. H.)

*

Adolf Nowaczyński. „Cezar i człowiek". Sztuka w 3-ch aktach z epilogiem. Warszawa 1937. Gebethner i Wolff.

Każde dzieło dramatyczne Nowaczyńskiego jest równocześnie studium naukowym. „Dymitr Samozwaniec", „Smocze gniazdo", „Pułaski", „Fryderyk Wielki", „Starościc warszawski", „Cyganeria warszawska" jak żywe fantastyczne zwierciadła, postaciami i anegdotą, obyczajowością, strojem, tłem dekoracyjnym przenoszą wyobraźnię w atmosferę polityczną i towarzyską danej epoki. Bogactwo szczegółów charakterystycznych, dobytych trudem badawczym z kronik, aktów urzędowych, pamiętników i listów, niemal że rozpierają ramy dzieła. Przeważnie też egzemplarze książkowe sztuk różnią się objętością od egzemplarzy teatralnych.

Tak i w tym razie.

Ze względu, że przedstawienie sztuki „Cezar i człowiek", gdyby sztuka wystawiona była w całości, przeciągnęłoby się zadługo ponad zwyczajową godzinę jedynastą, reżyser skrócił tekst utworu, obciąwszy dialogi, opuściwszy niektóre sceny trzech aktów i ich epilog.

Z natury rzeczy odpadła, niezwykła jak zawsze spod pióra Nowaczyńskiego, malownicza opisowość tła, i wskazówki dla aktorów. Wprawdzie żywe słowo nadaje wrażeniu większą bezpośredniość, niż karty druku, ale równie dobrze może wrażeniu nie sprostać, zubożyć je lub wykrzywić, rzadko dopełnić.

Z tego utworu, wskutek skrótów, pozostał szkic, szkielet dzieła, zresztą przejrzysty i efektowny, libretto, ale też pozbawiony tego wielkiego tchnienia i blasku, jaki z tego dzieła promieniuje. Patrzymy na obraz dramatyczny, wspaniały, stworzony niby soczystym pędzlem mistrzów Odrodzenia, jednak nie mniej ciekawe estetyczne wzruszenie, a i naukowy pogląd na ducha epoki, podda możność rozczytania się w całości dzieła, i szczęśliwie się stało, że „Cezar i człowiek" został wydany w książce. (A. W.)

Z CHŁOPKI SZLACHCINA

W DZIEJACH naszych zdarzyło się nieraz, że chłop dostąpił pewnych uprawnień szlacheckich lub wprost samego szlachectwa: a to za męstwo i dzielność wojenną. Wszak jeszcze Kościuszko — już jakby na znak nowej, odrodzonej Polski — wyniósł Wojtka Bartosa z Rzędowic, chłopa-bohatera z pod Racławic, na chorążego i nazwał Wojciechem Głowackim, co było niejako nobilitacją tego chłopa. Oczywiście, wypadków bohaterstwa chłopskiego było zawsze niepomiernie więcej, niż nagrodzenia jego zasług, jak to zresztą zawsze i wszędzie bywa: zasługa podwładnych zdobi wawrzynem czoło wodza, który stanowi moralne ognisko, syntezę dusz tych podwładnych, a oni spełniają tylko dobrze swój obowiązek. Więc ten chłop sobie nie „krzywdował", nie czekał zapłaty.

A jak chłopka? Czy mogła dostąpić szlachectwa? Owszem mogła, ale zdarzało się to niewątpliwie bardzo rzadko, wyjątkowo. Stąd może zaciekawienie wzbudzić napotkana świeżo zapiska w księgach ziemskich krakowskich:

ROCZKI KRAKOWSKIE (*Termini terrestres Cracovienses*)—29.II.1496.

„*Nicolaus Jordan de Zaklyczyn recognovit quia fideiussit pro nobili Katherina consorte Alberti de Borzatha, filia olim laboriosi Philipi kmethonis de Osyeczany, per laboriosum Stanislaum Slavyecz de Curdvanov villa dominorum Viccariorum Ecclesie Cathedralis Cracoviensis* [*occisi*], *occasione eiusdem capitis occisi ab omnibus amicis, propinquis et remotis utriusque status, sibi prefato Stanislao Slavyecz ab omni impedicione se inscripsit et obligavit sub vadio 10 marcarum, et, ab omni securitate redeundi et veniendi, dum humilitatem alias pokore faciet, nulla prescripcione evadendo. Que Katherina recognovit satisfaccionem pro eodem capite occiso recepisse*„.

W przekładzie:

„Mikołaj Jordan z Zakliczyna zeznał, jako poręczył za szlachetną Katarzynę małż. Wojciecha z Borzęt [Borzęckiego], córkę niegdy pracowitego Filipa kmiecia z Osieczan, [zabitego] przez pracowitego Stanisława Sławca z Kurdwanowa wsi ks. ks. Wikarjuszy Kościoła Katedralnego krak., (zaczem) z racji tejże głowy (t. j. mężobójstwa) od wszystkich przyjaciół (t. j. krewnych) powinowatych i dalszych obojga stanu[1]) jakiegokolwiek nagabania rzeczonemu Stanisławowi Sławcowi się zapisał i zobowiązał pod zakładem 10 grzywien[2]), jakoteż względem wszelkiego bezpieczeństwa powrotu i przybycia, gdy pokajanie cz. pokorę będzie czynił, nie uchylając się żadnem przedawnieniem. Która to Katarzyna zeznała, że za tę-że głowę otrzymała zadośćuczynienie[2])".

Chłopka tedy przez prawowite małżeństwo ze szlachcicem stawała się także „szlachetna". To zresztą samo przez się jest rzeczą normalną, skoro małżonek podciąga (lub ściąga) do swego stanu małżonkę. Zadowolenie jednak może sprawiać wiadomość, że takie małżeństwa w Polsce się zdarzały. Tak więc chłop mógł dostępować szlachectwa przez Marsa, chłopka przez Wenus.

DEF.

[1]) t. j. stanu chłopskiego ze strony Katarzyny i stanu szlacheckiego ze strony jej męża.

[2]) główszczyzna za chłopa od statutów Kazimierzowskich wynosiła 10 grzywien (za szlachcica 60 grz.).

NOWE KSIĄŻKI

Nowaczyński Adolf. Cezar i człowiek. Sztuka w 3 aktach z epilogiem. Warsz. Geb. i Wolff.

Piasecki Sergiusz. Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy. Powieść. Warsz. 1937. Rój.

Gojawiczyńska Pola. Rajska jabłoń. Powieść. Tom II. Warsz. 1937. Rój.

Suchodolski Bogdan. Uspołecznienie kultury. Warsz. 1937. Rój. Str. 386.

Morton Józef. Spowiedź. Powieść. Warsz. 1937. „Rój".

Walewski-Colonna St. Rdzawe blaski. Powieść. Warsz. 1937. Rój.

Leszczyńska-Mittelstaedt Maria. Bratowa z kabaretu. Powieść. Warsz. 1937. Rój.

Wildecki H. W niewoli żydowskiej. Poznań 1937. „Gryf." Str. 74.

A CO ZE STWOSZEM?

W ROKU przyszłym przypada 500-na rocznica urodzin Wita Stwosza. Nic nie wskazuje na to, żeby społeczeństwo polskie zechciało godnie uczcić pamięć jednego z największych geniuszów. Nie widać zgoła żadnych przygotowań ani ze strony sfer rządowych ani ze strony sfer artystycznych. Podczas kiedy Niemcy od szeregu lat czynią systematyczne i na wielką skalę zakrojone przygotowania, aby wystąpić z całym aparatem dowodów uzasadniających niemieckie pochodzenie Stwosza, u nas panuje najzupełniejsze niezrozumienie tego, że Stwosz jest to niezmiernie cenny atut na terenie międzynarodowym.

Ma to przecież niesłychanie ważny walor nietylko dla sztuki, kultury, ale i dla państwowości włoskiej, że Michał Anioł czy Rafael nie byli Niemcami, lecz Włochami. Niemcy próbują przywłaszczyć sobie Kopernika, były już z tego powodu pewne nieporozumienia z Niemcami na przygotowującej się wystawie paryskiej. Ale gdy z polskiem pochodzeniem Kopernika już się pogodzili, aczkolwiek nie mogą tego przeboleć, to natomiast przygotowują wielki atak na Stwosza.

Istnieje uzasadniona obawa, że Stwosza mogą przywłaszczyć i wygrać tę pozycję dla siebie nie tylko w świadomości własnej, na terenie międzynarodowym, lecz i wśród społeczeństwa polskiego. O Stwoszu bowiem panują wśród nas bardzo mętne wiadomości, przytem najzupełniejszy brak zainteresowania, a co najgorsze, że sfery właśnie do tego powołane, jak rząd i wszelkie artystyczne instytucje, jakoteż różnorakie czynniki propagandowe z M. S. Z. łącznie, najzupełniej sobie nie zdają sprawy z atutu wielkiej wagi, jakim jest imię Stwosza. Imię geniusza, który pozostawił arcydzieła.

Nie wystarcza powiedzieć wycieczkowiczom obcym przed ołtarzem Mariackim w Krakowie, że jest to arcydzieło Wita Stwosza. Podobnych arcydzieł Stwosz pozostawił znacznie więcej.

Trzeba jednak na cały świat powiedzieć w języku dostępnym czytelnikom Zachodu, że Stwosz obok Donatella i Jana van Eycka rozpoczął wielką europejską sztukę. Był jednym z największych genjuszów, który stworzył epokę w dziejach sztuki. O tem trzeba ustawicznie mówić i pisać, bez przerwy propagować, bo Stwosz to chwała Polski tak jak Kopernik.

Nazwisko Stwosza powinno się stać symbolem polskości, podobnie jak nazwisko Rafaela bądź Michała Anioła jest symbolem duszy włoskiej. Z dźwiękiem nazwiska Stwosza, wyrażającego wielki przełom w sztuce europejskiej, powinno się w umyśle cudzoziemca kojarzyć imię Polski.

Tymczasem, jeśli tak dalej pójdzie jak teraz, przy tej najzupełniejszej indolencji — to niezadługo sami uwierzymy fałszom niemieckim, że Stwosz był Niemcem. To co już zrobiono na tem polu w Niemczech—zdumiewa, podczas kiedy u nas parę zaledwie osób z zaparcjem się własnem prowadzi heroiczny bój o należne miejsce w kulturze polskiej dla tego geniusza. Niemieccy uczeni i artyści pracują przy najwydatniejszej pomocy władz państwowych, rozumiejących, że jest do wygrania wielka stawka. A jak jest w Polsce — posłuchajcie.

Prof. Wincenty Trojanowski, prodziekan Wszechnicy, artysta-rzeźbiarz i historyk sztuki po wieloletnich mozolnych badaniach w kraju i za granicą (Niemcy, Włochy, Belgia, Francja) napisał po francusku rewelacyjne studium porównawcze o Wicie Stwoszu. Praca ta była czytana i wyróżniona na jednym z posiedzeń Akademii Francuskiej. Nasze M. S. Z. zdecydowało się wydać ją w języku francuskim ze względu na niezwykłą atrakcyjność propagandową. Książka zaczęła się drukować. Niestety, podczas korekt prof. Trojanowski zmarł nagle. Druk książki został wstrzymany, niewiadomo dlaczego. Stwosz poszedł do lamusa. Mija już dziesięć lat, w przyszłym roku będziemy mieli 500-ną rocznicę urodzin Stwosza, z której to okazji Niemcy rzucą w świat setki książek i broszur o Stwoszu jako swoim geniuszu narodowym.

A zaś u nas jest możliwy taki, wprost nieprawdopodobny, skandal, że książka, będąca już w druku, książka, którą M. S. Z. miało zużytkować dla celów artystycznej i „wielkomocarstwowej" propagandy na zagranicę, książka wybitnego fachowca, odznaczona przez Akademię Francuską—poszła w połowie druku do lamusa... Druk przerwano... Autor umarł, a o Stwosza mniejsza.

Wierzyć się nie chce, że są możliwe takie rzeczy, że coś podobnego mogło się zdarzyć.

Gdzież jest Wydział Sztuki i Kultury, gdzież są instytucje artystyczne, naukowe, Fundusz Kultury, co porabia Tow. im. Wita Stwosza. Dla czego p. minister, co jest najwięcej zainteresowany w propagandowem znaczeniu naszego „prestiżu", nie udzielił dymisji tym, co zawinili, pozbawiając z tak lekkim sercem i w tak bezmyślny sposób własne państwo tak wspaniałego atutu propagandowego na terenie międzynarodowym. Dla czego nie podjęto druku przerwanego i nie kończy się tej monografii o Stwoszu?

Wysyła się natomiast zagranicę na konkursy nieprzygotowanych grajków na skrzypcach i marnotrawi pieniądze kompromitując państwo, lub też traci się te pieniądze bezużytecznie w ośmieszający nas sposób na różne wyczyny sportowe na terenie międzynarodowym.

Pan Jan Piętka, krakowianin, jest niezmordowanym propagatorem wiedzy o Stwoszu wśród własnych rodaków. Poza licznymi artykułami napisał dobrą książeczkę, którą powinno się zająć nasze min. Oświaty. Tymczasem autor chodził od Annasza do Kaifasza i wreszcin książeczkę o Stwoszu, opatrzoną 40-tu ilustracjami wydali... Bracia Albertyni.

Wierzyć się wprost nie chce. Fundusz Kultury wydaje tłumaczoną historię sztuki autora niemieckiego, rynek księgarski polski zaśmiecany jest ramotami wołającemi wprost o pomstę do nieba, autor zaś, który napisał książkę o genjalnym Polaku, wprost w przededniu jego 500-ej rocznicy urodzin, autor ten nie może znaleźć nakładcy.

Wreszcie bracia Albertyni, których celem jest akcja charytatywna, wydają książkę własnym nakładem, biorąc asumpt z tego, że brat Albert był artystą.

W jakim kraju jesteśmy? Komu w tej Polsce chodzi, prócz własnego żłobu, o coś więcej? o jakieś wartości głębsze, nieprzemijające, o ideję, o ducha, o kulturę narodu, o jej piękno i bogactwo?

Czy na żłobie tylko można zbudować potęgę narodu i państwa? Wt.

NA MARGINESIE

Pewien rradykalny dziennik codzień zapowiada konieczność rradykalnej przebudowy Polski w stylu nowoczesnym:

— „W rzeczywistości powinno chodzić o cel inny, o stworzenie nowoczesnego obozu narodowego w Polsce. Przecież Polska, w której nowoczesna myśl narodowa zaczęła się krzewić bardzo wcześnie, dotychczas nie zdobyła się na stworzenie naprawdę nowoczesnego obozu narodowego.

„Nowoczesny obóz narodowy musi posiadać wyraźną wizję nowej Polski, jaką pragnie urzeczywistnić, musi zdecydowanie głosić program przebudowy społecznej.

Nowoczesny obóz narodowy musi skupić w swych szeregach wszystkich Polaków..."

Dajcież mu tę „nowoczesną" Polskę, bo się rozpłacze!

*

Potrafiliśmy dawniej wyśmiewać ziemian, dość przypomnieć farsę Zygmunta Przybylskiego „Wicek i Wacek" (1888). Ile to było zabawy!

Że też dzisiaj niema humorysty, któryby napisał komedię pod tym samym tytułem na tle świata politycznego i Akademii Literatury z figurami Wicka Rzymowskiego i Wacka Sieroszewskiego!

CZAS ODNOWIĆ PRENUMERATĘ

„MYŚLI NARODOWEJ“

NA KWARTAŁ III
LUB PÓŁROCZE DRUGIE

PRENUMERATA WYNOSI:

Półroczna „ „ 17 zł.
Kwartalna „ „ 9 zł.

Kwoty do 50 zł. przesyłać można bezpłatnie za pośrednictwem załączonych blankietów rozrachunkowych, które także można nabywać na poczcie w cenie 1 grosza.

Należy przypisać konto rozrachunku pocztowego Myśli Narodowej Nr. 98.

TREŚĆ: Nowe państwo *K. S. Frycza.* — Droga do Stwórcy wszechrzeczy *Vir Polonusa.* — Wilno *F. Ruszczyca.* — Kilka uwag o Bourbonach *L. Gembarzewskiego.* — Glossy do spraw języka i pisowni *M. Pawlikowskiego.* — Na widowni *Z. Wasilewskiego.* — O komuniźmie i bezbożnictwie. — Nauka i literatura. — Z chłopki szlachcina *Def.* — Nowe książki. — A co ze Stwoszem *Wł.* — Na marginesie.

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45.**
Konto czekowe na P. K. O **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205.80 **PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.**